NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata kosztuje:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk. — 2 Rbs. Półrocznie 8 kor. 8 Mrk. — 4 Rbs. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk. — 8 Rbs.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA I ADMINISTRACYA, KRAKOW, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.
Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Numer pojedynczy kosztuje 16 centów (32 halerzy).

Rok II. Kraków, 10 czerwca 1905 r. Nr. 24.

Zamach na króla Alfonsa XIII.

(Do artykułu na str. 2).



Numer ten zawiera 24 stronic druku!



Katastrofa żywiołowa w Krakowie: Ulica Zielona zalana wodą. Fot. „Helios“. Kraków.

Zamach na króla Alfonsa XIII.

(Do illustracyi tytułowej).

Nie do pozazdroszczenia jest życie dzisiejszych monarchów. Na każdym kroku są oni narażeni na niebezpieczeństwo utraty życia, gdyż anarchiści, ci najwięksi wrogowie tronów i królów, dają ciągle znaki życia. I nawet władcy, którzy nie zdołali jeszcze zarobić sobie na nienawiść, owszem, otaczani nawet powszechną sympatyą i miłością, nie są pewni życia. Anarchiści nie liczą się z zasługami, cnotami czy wadami królów. Dla nich król sam, jako król, jako osobistość ukoronowana, jest godnym śmierci bez względu na to, czy na nią osobiście zasłużył, czy nie. Nawet taki młody władca, jak obecny król Hiszpanii, 19-letni Alfons XIII, nie uszedł ich zbrodniczej ręki.

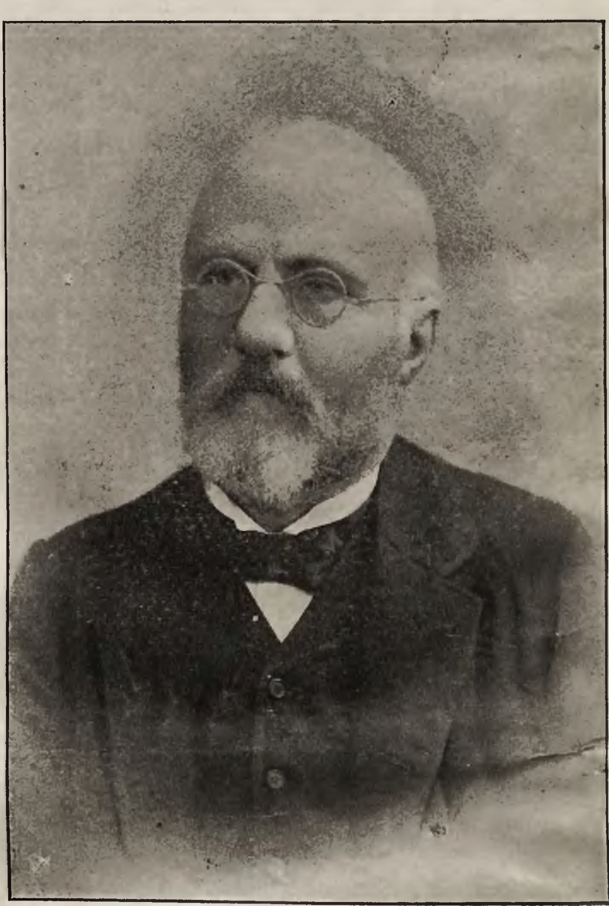
Przed paru miesiącami jeszcze, kiedy w świecie politycznym ogłoszono, że młodziutki władca Hiszpanii odwiedzi stolicę „zaprzyjaźnionej“ Francyi, zaczęły się w pismach francuskich i hiszpańskich pojawiać urywkowe, niedokładne wiadomości, że anarchiści hiszpańscy knują zamach na życie dziewiętnastoletniego monarchy. Głoszono, że ognisko anarchistycznej „propagandy czynu“, Barcelona, wysłało „najpewniejszych“ swoich działaczy do Paryża. Wiedziała o tem i policya paryzka. Przed paru tygodniami doniesiono jej, że anarchista Avila przybył z Hiszpanii do Paryża, przywiózłszy ze sobą bomby. Udało się policyi wyszukać go i aresztować, aresztowano także jego wspólników. Mimo to dowiedziano się, że na zgromadzeniach swoich anarchiści mówią tajemniczo o zamierzonem „dziele“. To też na przyjazd Alfonsa XIII zarządzono w Paryżu najściślejsze środki ostrożności.

Obawy nie były płonne. Na króla skierowane były w stolicy Francyi dwie bomby, z których jedna wybuchła, na szczęście nieszkodliwie.

W ubiegłą środę wieczorem, Alfons XIII był z prezydentem Loubetem w Wielkiej Operze na przedstawieniu. Przedstawienie wypadło wspaniale, gdyż poza dygnitarzami republikańskimi olbrzymi teatr zapełniła najwyższa arystokracya francuska. Króla witano entuzyastycznie, czem młody władca był bardzo zadowolony. O pół do pierwszej w nocy opuścił król operę, jadąc z Loubetem przez wspaniale dekorowane i oświetlone ulice do swej rezydencyi, Palais Royal. Niezliczone tłumy zapełniały ulice, wznosząc okrzyki na jego cześć. Król z prezydentem jechali w pierwszym powozie otwartym, w dalszych jechali ministrowie, świta królewska, ambasadorowie i inni dostojnicy. Łańcuch powozów był otoczony eskortą kirasyerów.

Na rogu ulicy Rivoli i Rohan, w pobliżu „Komedyi francuskiej“, powóz królewski zwolnił nieco w biegu, na skrzyżowaniu ulic. W tej chwili tuż przy powozie wzniósł się w górę silny płomień, rozległ się głuchy huk, w tumanach dymu widać było wspinające się konie ekwipaży i eskorty. Tłum w panicznym przestrachu, krzycząc, zaczął w ścisku uciekać na wszystkie strony. Powóz królewski przystanął na dwie do trzech sekund. Woźnica zaciął konie, które puściły się w cwał. W tej chwili prezydent nachylił się ku królowi i coś do niego mówił. Wszystko razem trwało najwyżej 10 sekund, poczem powóz odjechał pędem dalej. Okazało się, że na powóz królewski rzucono dwie bomby, które jednak na szczęście nie spowodowały katastrofy. Rannych tylko było 15 osób, w tem 12 z publiczności, jeden kirasyer i dwu policyantów. Sprawcy zamachu mimo energicznych poszukiwań odkryć nie zdołano.

Podajemy w dzisiejszem numerze ilustracyę, przedstawiającą chwilę wybuchu bomby obok powozu króla Alfonsa XIII, oraz portret młodego władcy Hiszpanii, który w szczęśliwy sposób uszedł śmierci z rąk skrytobójcy.



Ogródek dla dzieci w Parku prof. dra Jordana: Prof. dr. Henryk Jordan.

Katastrofa żywiołowa w Krakowie.

Kraków był przed paru dniami widownią niepamiętnej burzy w połączeniu z nawałnicą, mogącą łatwo zamienić się w żywiołową klęskę. Całe szczęście, że rozhukane elementa w niespełna 2 godziny uspokoiły się i grożące miastu niebezpieczeństwo ograniczyło się na połamaniu kilkudziesięciu drzew na miejskich plantacyach, przerwaniu komunikacyi elektrycznego tramwaju i połączenia telefonicznego, ooaz zalaniu kilku ulic terenem niżej położonych i całego szeregu mieszkań suterenowych i piwnic. Najgorzej, jak zwykle w każdej klęsce lub nieszczęściu — wyszli na burzy onegdajszej biedacy, zamieszkujący podziemne nory i piwnice wielkich kamienic. W wielu wypadkach stracili, a częściowo zniszczyli sobie całe mienie przy nagłym zalewie wody.

Nawałnica rozpoczęła się rzęsistym deszczem, który wielkiemi kroplami spadał na rozpaloną ziemię. Potem chmury spotkały się nad miastem i skłębiły w jedną masę, która zahuczała grzmotami, sypnęła gradem, lunęła potokami deszczu. Bił piorun za piorunem na wszystkich punktach miasta.

Ulice opustoszały i w jednej chwili zalały je potoki wody; przechodnie szukali schronienia po sieniach. Woda, która w jednej chwili zalała niżej



Ogródek dla dzieci w parku prof. dra Jordana: Widok ogródka w czasie ćwiczeń młodzieży pod kierunkiem p. Bierońskiego.



Zamach na króla Alfonsa XIII: Alfons XIII.

położone części miasta — zrobiła najwięcej krzywdy — jak to już wspomnieliśmy — ubogim mieszkańcom suteryn i piwnic.

Niektóre ulice przedstawiały widok powodzi. woda dosięgła okien mieszkań suterenowych i zaczęła je zalewać. Powstał popłoch, ludzie wybiegali na ulicę, sądząc, że się zbliża katastrofa powodzi. Podkop kolejowy w ulicy Lubicz tak był zalany wodą, że sięgała ona po ramiona brodzącym po niej chłopakom. Woda zalała mieszkania suterenowe i piwnice w ulicach Basztowej, Zacisze, Lubicz, Pawiej, Kolejowej, Blich, Zielonej, Dietla, Małej, Dolnych Młynów i t. d.

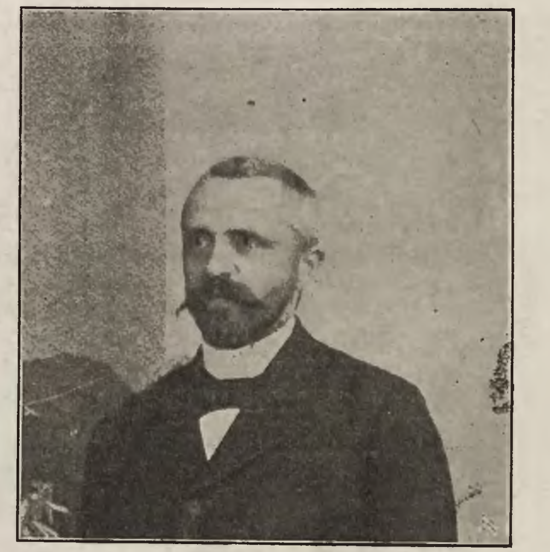
Rycina nasza przedstawia cykl epizodów krótkotrwałej powodzi.

Ogródek dla dzieci w parku dra Jordana.

W Krakowie chlubne imię na polu pracy nad wychowaniem młodzieży pozyskał profesor uniwersytetu Jagiellońskiego, znany filantrop i przyjaciel młodzieży, dr. Henryk Jordan. Założony przez czcigodnego profesora park, znany pod nazwą parku Jordana, przeznaczony wyłącznie dla młodzieży, jest instytucyą, któej nam może pozazdrościć niejedno miasto zagraniczne. Park to bowiem założony, utrzymywany i zastosowany jest do tego, żeby dzieciom, żeby młodzieży naszej dać sposobność do wytchnienia po pracy, do odzyskania zdrowia i sił, zrujnowanych ślęczeniem nad książką, czy przy warsztacie. Warto się też w lecie przejść do parku Jordana, aby się nasycić widokiem wesołości, jaką kipi młodość, tej szerokiej fantazyi, promieniejącej z zarumienionych twarzyczek, rozbawionych, wesołych, bo oddalonych od ciasnoty pokoju, oddychających pełną piersią na świeżem powietrzu.

W ostatnich dniach wprowadzoną została w parku dra Jordana, z inicyatywy profesora Bierońskiego, a z pomocą prof. Jordana, bardzo piękna i pożyteczna inowacya. Kawałek ziemi obrócono na ogródek. Dzieci same wykonują całą robotę, robią grządki, przyczem uczą się stosować praktycznie zasady geometryi. Potem, kiedy nadejdzie odpowiedni czas, będą się zajmowały sadzeniem, plewieniem i pielęgnowaniem roślin, przyczem na żywych okazach ma być prowadzona nauka botaniki. Myśl ta, połączenia pracy fizycznej z umysłową, jest nietylko sama w sobie piękną, ale i nader pożądaną, bo też nic nie wpływa na dzieci tak dobrze, tak pożytecznie, jak nauka, połączona z zabawą. Ona też najbardziej wpływa na duszę dziecka i najbardziej duszy dziecka odpowiada. Najnowsze teorye wychowania młodzieży kładą główny nacisk właśnie na to połączenie zabawy z nauką. Byłoby więc bardzo pożądanem, aby sfery zajmujące się wychowaniem, zajęły się rozszerzeniem i uprzystępnieniem ogródka w Parku Jordana dla jak największej ilości dzieci.

W uzupełnieniu tego artykuliku podajemy obok fotografię ogródka w czasie wykonywania pracy przez dzieci, oraz portrety profesora dra Jordana i profesora Bierońskiego.



Ogródek dla dzieci w Parku prof. dra Jordana
P. Bieroński, kierownik ogródka.



Katastrofa żywiołowa w Krakowie: Szereg obrazków z nagłej powodzi: 1. Podkop przy ulicy Lubicz, zalany wodą. 2. Strażacy pompujący wodę z suteryn przy ulicy Basztowej. 3. Zalane suteryny w kamienicy pod l. 7 przy ul. Zacisze. 4. Sień w domu pod l. 7 na Zaciszu, zapełniona powynoszonemi z suteryn rzeczami.



POWIEŚĆ

osnuta na tle ostatnich wypadków w Królestwie Polskiem.

NAPISAŁ

JERZY SWOBODA.

2 (Ciąg dalszy).

— Wiesz nowinę?... Olga zapisała się na uniwersytet już od kilku dni...

— Zapisała się?! — zdziwił się — i ani słowa tobie nie powiedziała?

— Może przed godziną uwiadomiła mnie tonem najzupełniej obojętnym, że idzie na wykłady... i może spóźni się na kolacyę... Słyszysz?

— No, no — bąknął w zamyśleniu i wszedł do jadalnego pokoju, a tuż za nim żona.

Usiadł przy stole, nakrytym do kawy poobiedniej i zwracając się do żony, rzekł:

— Każ podać!

Po chwili służąca wniosła imbryki, garnuszki ze śmietanką.

Przez jakiś czas jadł i pił w milczeniu, aż zniecierpliwiona żona spytała:

— Janku, cóż ty na to?

— Hm... o Oldze?... alboż ja wiem? Aleksander, wyjeżdżając, zapowiedział nam w tym pokoju, że wybór profesorów, nauki, zajęć, zostawia jej woli i chęci. Ona wybiera uniwersytet... i miała prawo do tego... cóż my na to poradzimy?

— Ależ w uniwersytecie spotka się, Bóg wie, z jakimi ludźmi, zaczną się znowu przyjaźnie, chodzenia, wycieczki.. i kto wie, do czego przyjść może...

— Hm... to napiszę chyba do Aleksandra.

— Dziś jeszcze, bardzo cię proszę. Jeśli ona ma chodzić na uniwersytet, ja zrzekam się wszelkiej odpowiedzialności... to nad moje siły... nad moją możność...

— No, znów tak dalece...

— Ty tego nie rozumiesz — zawołała, podrażniona jego obojętnością — boś ty mężczyzna... Ale ja, jako kobieta, wiem, co znaczy oddać córkę pomiędzy gromadę chłopaków, którym tylko miłostki w głowie. I chociaż nie przypuszczam nic złego o Oldze, ale w takiem towarzystwie, po spoufaleniu się z młodzieżą, już ona straci tę wrażliwość niewinnej panienki, zordynarnieje w ruchach, w sposobie wyrażania się, zaniedba elegancyi i taktu, właściwego pannie dobrze wychowanej.

— Trochę za daleko posuwasz swój pesymizm... Olga wychowana jest w zasadach moralnych, jest dobra, uważna, rozumie, co winna ojcu...

— I tak dalej i tak dalej — zaśmiała się nerwowo — skądże ty znasz ją tak dobrze? Ja przecież częściej z nią przebywam i widuję ją od dwóch tygodni kilka razy na dzień, a tyle znam ją dzisiaj, co pierwszego dnia przyjazdu. Grzeczna, uprzejma, ale daleka od zwierzeń, czułości, zaufania.

— Zauważ, że ona wychowana niemal bez matki, która odumarła ją w dzieciństwie prawie, ale jak ciebie bliżej pozna, przyjdzie zaufanie, bo grunt, to zasady.

— Nie dałabym za nie i grosza — przemówiła z goryczą — nigdy nie widziałam jeszcze, aby się modliła, niema książki do nabożeństwa... a gdym jej zaproponowała pójście na mszę, wymówiła się bólem głowy. I co może być z dziewczyny, która nie posiada religii! Gdzie hamulec? Gdzie obawa grzechu?... Te pieniądze, które za nią bierzemy, są mi kością w gardle, gdyż nie widzę sposobu spełnienia sumiennie tego, do czego się zobowiązałam.

— Przesada! — skrzywił się — napiszę do Aleksandra o tym uniwersytecie, a jeśli i on się zgodzi, nie może mieć pretensyi do nas.

Po dobrej chwili milczenia przemówiła żona tonem łagodnym:

— Mój Janku... a gdybyś ty przekonał się osobiście, jak długo trwają wykłady... czy ona istotnie chodzi?

— O, co to, to nie! — obruszył się — masz zresztą Mundzia, posyłaj go, niech śledzi — uśmiechnął się ironicznie — i skąd takie podejrzenia!? Wierz mi, że jeśli tylko Olga zechce, wyprowadzi nas zawsze w pole... a zresztą, co nam przyjdzie z tego, gdy się dowiemy, że nie była na wykładzie?!

— Zrozumie, że jej pilnujemy, że dbamy o nią... że są pewne granice jej samowoli. Zrób to, Janku, dla mnie, dla mego spokoju — prosiła tonem serdecznym.

— Już jeśli chcesz koniecznie, niech i tak będzie — westchnął.

— Dziękuję ci.

Wtem odezwał się dzwonek w przedpokoju i za chwilę wszedł z pośpiechem Edmund, mówiąc z progu:

— Dziś prawdopodobnie nie będę wieczorem w domu... wpadłem na chwilę po pewne papiery.

— Nie będziesz? — zawołała matka — coś za często spędzasz wieczory poza domem.

— Jestem zajęty — mruknął.

— Napij się przynajmniej kawy, bo będziesz głodny.

Spojrzał na wiszący zegar, wskazujący piątą za dziesięć minut.

— Nie mogę, mamo — i zamierzał iść do swego pokoju, gdy go powstrzymało zapytanie ojca:

— Czy wiesz, że Olga zapisała się na uniwersytet?

— Wiem... na wydział przyrodniczy.

— Dlaczegoż nie powiedziałeś mi o tem? — skarżyła się matka.

— Sądziłem, że sama uwiadomiła mamę o swych projektach.

— Mundziu, czy ona teraz ma wykłady?

— Teraz?... Tego nie wiem, ale z wszelką pewnością jest na zgromadzeniu „Zjednoczenia“.

— Cóż to za „Zjednoczenie“?

— Towarzystwo studentów uniwersytetu, a dziś rozstrzygają się ważne sprawy. O, już na mnie czas — spojrzał na zegar i szybko poszedł do swego pokoju.

— Teraz wiesz już, gdzie Olga — uśmiechnął się mąż — i zwolnisz mnie z przyrzeczenia.

— Na dziś, tak.

Edmund, wyszedłszy z domu, pospieszał do lokalu towarzystwa „Zjednoczenie“, gdyż umówił się z Olgą, że wprowadzi ją na posiedzenie i ułatwi formalności wpisu na członka towarzystwa.

W dość obszernej sali, obstawionej pod ścianami szafami bibliotecznemi, za stołem dla przewodniczącego i sekretarza, zebrało się dość liczne, bo do stu osób liczące zebranie studentów uniwersytetu, które w chwili wejścia Edmunda podzielone na grupy dowolne, prowadziło półgłośne rozmowy.

Trochę na uboczu siedziały i stały koleżanki, porozumiewały się niemal szeptem ze sobą i słuchały dość obojętnie kolegów.

Pomiędzy niemi dostrzegł Edmund Olgę, a zbliżywszy się, rzekł:

— Trochę się spóźniłem... Czy zapisałaś się już na członka?

— Tak jest, ułatwiła mi koleżanka Borwiczówna — wskazała na obok siedzącą ciemną szatynkę.

— A, z koleżanką znamy się dość dawno — uśmiechnął się Edmund, podając rękę — dziękuję za okazaną pomoc.

— Nie dla kolegi to zrobiłam — powiedziała tonem dość szorstkim, lecz z pogodną twarzą i zwracając się do Olgi — widzicie tego wysokiego szatyna, chmurnego... teraz podaje rękę... to Cypryański... dobry mówca.

— Kiedyż się zacznie?

— Za chwilę — odpowiedział Edmund — już przyszedł przewodniczący.

— Któryż to?

— Ten z pełną brodą... który wita się z każdym w przechodzie.

— Czy on zawsze taki uśmiechnięty?

— Nie znacie się, koleżanko, na polityce — zaśmiała się Helena — przewodniczący musi zaskarbiać sobie łaski... chociażby przyjemnym uśmiechem, a on wie, że ma miły uśmiech.

— O, jest i Żalecki — zawołał Edmund — coś zbyt spokojny.

— Gdzie on? — spytała Olga.

— Ten blondyn, ze zmierzwionemi włosami jak strzecha — objaśniła Helena — przeciwnik Cypryańskiego... ukłonili się sobie zdaleka... coś będzie...

— Podobno Cypryański wystąpi z oskarżeniem Żaleckiego — szepnął Edmund.

Do siedzących zbliżył się wysoki, szczupły człowiek, z twarzą bladą, ascetyczną, z włosami krótko przyciętemi i podając rękę Helenie i Edmundowi, mówił melodyjnym głosem:

— Jak się macie... jutro przyniosę wam Luysa, warto przeczytać — zwrócił się do Heleny.

— Dziękuję... dawno was nie widziałam — powiedziała tonem szacunku.

— Gorączka trzymała mnie w domu, ale zmogłem się dzisiaj... bo podobno szykuje się burza.

— Bo też Cypryański jest za despotyczny — wmieszał się Edmund.

— Już czekacie z uprzedzeniem — uśmiechnął się — wpierw wysłuchajcie.

— Bardzo słusznie — zauważyła Olga.

Spojrzał na nią badawczo, a Helena pospieszyła:

— Nowa nasza koleżanka, Wojtyrska, z Rosyi... kolega Zbrojski.

Podali sobie ręce, i on po chwili:

— Wy na jaki wydział?

— Słucham przyrody.

— To będziemy się częściej spotykali.

Zabrzmiał dzwonek i zrobił się rumor w sali, przesuwanie krzesłami, zakłębiło się od przechodzących w różnych kierunkach, a gdy się cokolwiek uspokoiło i uporządkowało, szepnął Edmund do Olgi.

— Tam na prawo, to konserwatyści, trzymają się dawnych haseł historycznych z ustępstwem dla pracy organicznej.

Spojrzała w tę stronę; byli tam młodzi ludzie, przeważnie z elegancyą ubrani, w modnych kołnierzykach i krawatach, pogodni, dobrze odżywieni, rozprawiający między sobą szeptem z głośniejszemi wybuchami śmiechu.

— Środek, to partya Cypryańskiego — objaśniał dalej — oni tu rej wodzą.

— A inni?... a reszta? — spytała.

— Część idzie za Żaleckim i Waldmanem, trochę dzikich, trochę neutralnych...

— A koleżanki?

Odpowiedź na to ostatnie pytanie przerwało przemówienie przewodniczącego, który po przeczytaniu przez sekretarza protokółu z ostatniego zgromadzenia, zaznaczył w krótkich słowach porządek dzisiejszego.

Były tam dwie sprawy, należące do wewnętrznej gospodarki towarzystwa, a najgłówniejsza trzecia, dotycząca odezwy „Kółka slawistów", proponująca przyjęcie tegoż „Kółka" jako sekcyi do towarzystwa „Zjednoczenie".

Pierwsze dwie kwestye załatwiono zgodnie z wnioskami wydziału, co do trzeciej wydział pozostawia rozstrzygnięcie zgromadzeniu członków, zawiadamiając, że „Kółko" obowiązuje się płacić pewną kwotę na lokal.

Nastała chwilowa cisza i wśród niej odezwał się z prawej strony jeden z członków:

— Proszę o głos!

A po udzieleniu mu tegoż przez przewodniczącego, wstał z krzesła młody człowiek, niewyraźny blondyn ze starannie uczesanemi włosami, białą ręką, ozdobioną pierścionkiem, poprawił wysoki kołnierzyk, przygładził małe baczki, i głosem równym, pewnym siebie, zaczął przemawiać za przyjęciem „Kółka" ze względów koleżeńskich, a głównie praktycznych.

— Proszę o głos! — zawołał ostrym, niemal syczącym tonem Cypryański, co prezes zanotowawszy, skinął mu głową.

Pierwszy mówca dowodził cyframi, że skoro „Kółko" będzie płaciło umówioną kwotę, dozwoli to „Zjednoczeniu" wprowadzić różne udogodnienia dla członków, a przytem przyjęcie „Kółka" będzie dodatnio wpływało na poziom zajęć wśród członków, wreszcie streścił się we wniosku za przyjęciem „Kółka", jako sekcyi „Zjednoczenia".

Otaczający go koledzy bili mu brawo, ściskali mu rękę, co on przyjmował z radosną skromnością, lecz spostrzegłszy, że większość przyjęła wywody nietylko obojętnie, ale ironicznemi wykrzyknikami:

— Oszczędny z cudzej kieszeni!

— Bilardu mu się zachciewa!

— Kolacyjki ze szampanem!

— Koleżeństwo faryzeusza!

— rzucił na zgromadzonych lekceważące spojrzenie i mruknął jakieś wyzwisko, na co jego sąsiedzi głośno się zaśmiali.

Olga, wysłuchawszy jego przemowy i ostrych przycinków opozycyi, zwróciła się zdziwiona do Edmunda:

— Rozsądnie mówił... czego oni chcą od niego?

— Zaraz posłyszysz — szepnął — już wstaje Cypryański.

Wysoki, dobrze zbudowany, podszedł do stołu przewodniczącego, spojrzał bystro po zgromadzeniu, rozjaśnił surowy wyraz twarzy i przemówił z lekkim, sarkastycznym uśmiechem:

— Poprzedni mówca, ze skromnością, godną uznania, przyjął miejsce ekonoma naszego towarzystwa... i jako wzorowy ekonom obliczył na palcach, ile wielmożny dziedzic zyskuje, gdy pachciarzowi wynajmie kawałek swej roli. Najpierw idzie gotówka, następnie litościwe przytulenie pachciarza, wreszcie umniejszenie myślenia, bo pachciarz będzie się trudnił nauką i nauczaniem dziedzica. Tego rodzaju rozumowania, obliczenia i gospodarka doprowadziły Polskę do upadku, a my za nich dźwigamy teraz mękę niewoli i poniżenia.

— Brawo! brawo! wołali jego zwolennicy, gdy z prawej dały się słyszeć głośne syki niezadowolenia.

Lekko skłonił głową, spojrzał z ironią na przeciwników i mówił płynnie:

— Poprzednik mój z lekkomyślnością wiejskich polityków zdecydował przyjęcie „Kółka", uważając za zbyt ciężką pracę zastanowienie się, co zacz jest ono, z jakich ludzi się składa, jakie są jego cele i zamiary. Otóż uważam za konieczne wyręczyć kolegę pod tym względem.

— Obejdzie się, sam wiem — zawołał zaperzony, co wywołało ogólną wesołość.

— Pozostaje mi tedy zaznajomić słuchaczy z głęboką wiedzą kolegi — skłonił się z wielką uprzejmością — zatem najpierw pytanie co to slawizm? Chimera, wylęgła w mózgu moskiewskim, aby upozorować zabór części Europy; zaprowadzić posłuch knuta; zniszczyć różnice etnograficzne i wszystkie ludy przetopić w jednę bryłę, wielbiącą tylko Boga prawosławnego w niebie a cara na ziemi.

— Przesada! — odezwał się ktoś z głębi.

— Dowodem tego historya od wchłonięcia Moodwinów, Czykców, Czeremisów, Baszkirów, Tatarów, połykania Rusinów i tylu pomniejszych ludów, a skończywszy na Polsce, lecz ten smok moskiewski udławi się nią i zginie, jeśli zgodnie, z całą świadomością celów i środków będziemy pracowali.



Odpowiedź na to ostatnie pytanie przerwało przemówienie przewodniczącego

Znów rozległy się brawa.

Olga niemal z zachwytem wsłuchiwała się w słowa Cypryańskiego, odżyła w niej przygaśnięta nienawiść Polki, za wszystkie męki, krzywdy, upokorzenia. Wspomniała ciche, ukradkowe opowiadania o wysyłkach na Sybir, do katorgi, do strasznych więzień; o znęcaniu się nad bezbronnymi, o mordowaniu i wieszaniu bojowników wolności... a gdy z powodu oklasków umilkł, spojrzała odruchowo, z pewną nabytą dawniej trwogą, czy nie wkroczy do sali żandarm moskiewski i nie zaaresztuje Cypryańskiego. Zoryentowawszy się, gdzie jest, uśmiechnęła się zadowolona i teraz drażniły ją brawa, przeszkadzające mówcy.

— „Kółko" nie jest polityczne, lecz naukowe — zawołał ktoś głośno z prawicy.

— Zgoda, moi panowie — skinął głową Cypryański — „Kółko" jest naukowe i odciąga nasze polskie siły od tak zaniedbanej folklorystyki narodowej, do nauki języków, jeśli nie wrogich, jak moskiewski, to obojętnych. Niechże się uczeni, specyaliści tem zajmują i zaznamiajają nas z rezultatami, ale nie żywy naród, który w pierwszym rzędzie musi bronić swego języka od Moskali, Niemców, Rusinów, Czechów. Najpierw trzeba nam być i żyć, a dopiero zagłębiać się w slawizmy teoretyczne — uśmiechnął się drwiąco. — A teraz kto należy do owego „Kółka" slawistów?

— Proszę o głos! — rzekł głośno Żalecki.

— I ja także! — zawołał Waldman, brunet z kędzierzawemi włosami i brodą, kręcąc się niespokojnie na krześle.

— „Kółko" składa się z dwudziestu członków — mówił dalej Cypryański — którzy należą do różnych narodowości. Jest tam sześciu Polaków, czterech Rusinów, dwóch Ormian, pięciu Niemców i w dodatku trzech żydów. Ładne towarzystwo... słowiańskie — zaśmiał się, a wraz z nim większość. — Otóż takich pachciarzy my nie chcemy!

— Słusznie!... Prawda!

— My, Polacy, zagrożeni jesteśmy ze wszystkich stron. Nas moskwiczą, germanizują, litwinizują, rusyfikują, czechizują i żydowszczyzna pcha się do nas wszelkiemi szparami. My musimy wytworzyć ścisłą, twardą, nieprzepuszczalną narodowość, okopać się w naszej twierdzy, i nie dopuszczać do niej żadnych wrogów i szpiegów. Każdy z nas jest żołnierzem, każdy musi iść w ten bój o życie narodu i tylko zjednoczeni i uświadomieni celowo zwyciężymy, a kto nie jest z nami, ten przeciwko nam i tego musimy się pozbyć. Z tego powodu wnoszę odrzucenie propozycyi „Kółka" tak urozmaiconych slawistów!

Rozległy się huczne oklaski, nawet przeciwnicy, porwani jego siłą i stanowczością przekonań, bili brawo. Również koleżanki, ujęte jego sarkazmem i wytwornem zachowaniem się, nie szczędziły uznania, a Olga szepnęła do koleżanki:

— Ten człowiek stworzony na wodza!

— I do pewnego stopnia jest nim w swej partyi... uważajcie, Żalecki mówi.

Wstał, zapiął szczelnie marynarkę, a nie znalazłszy jednego guzika, zmieszał się na chwilę, wreszcie machnął ręką, odgarnął w tył włosy, spadające mu na czoło i oparłszy ręce o poręcz krzesła, zaczął:

— Lubię nagość w sztuce, gdy tworzy ją artysta piękną i harmonijną, ale brzydka nagość sprawia mi, mówiąc delikatnie, przykrość... a takim przedstawił się nam z wielką odwagą kolega Cypryański.

Spojrzeli sobie w oczy. Żaleckiego niebieskie oczy nabrały coś z połysku i zimna stali, gdy znów Cypryański patrzał z olimpijskim spokojem z lekkim, drwiącym uśmiechem.

— Wygłosił on program tak niski, ciasny, egoistyczny, że chyba tylko ślimak, obnoszący swą skorupę, mógłby się zdobyć na podobny... a i w to wątpię. Bo i jaki środek uszczęśliwienia i uzdrowienia Polski on wynalazł? Oto zbudujmy dom własnemi siłami, dla nas samych, otoczmy go palisadami, rowami, wilczemi dołami, zabijajmy każdego, co usiłuje się zbliżyć, wroga czy przyjaciela, jeśli tylko nie jest naszym... i nastąpi era szczęśliwości niezamąconej. Ależ my, kolego Cypryański, stanowimy tylko jedno z ogniw wielkiego łańcucha narodów, ależ my pod grozą skostnienia i śmierci nie możemy się wyłączać i zamykać w ciasnej skorupie; ależ naród nie żyje powietrzem ze swoich pól i gór, ale z prądów z zachodu i wschodu, południa i północy; ależ, gdziekolwiek padnie hasło wolności, my musimy je odczuć galwanicznie.. a kolega żąda, abyśmy się zamknęli w ciasnej klatce narodowościowej, odgrodzili się murem nienawiści od wszystkich sąsiadów; dusili się w zatęchłem powietrzu własnych cnót i pochwał, cudzych zbrodni i wyklinań...

(Ciąg dalszy nastąpi).

Ochotnicza straż pożarna w Milówce.

Straż pożarna jest jedną z najpotrzebniejszych instytucyi, zwłaszcza na prowincyi, po wsiach i małych miasteczkach, zabudowanych przeważnie drewnianemi domostwami, gdzie zatem niebezpieczeństwo ognia nie ustaje prawie i wymaga ciągłego pogotowia i bacznej czujności powołanych ku temu organów. Dobrze wyszkolona i wyposażona straż pożarna jest najpewniejszą rękojmią bezpieczeństwa, mienia i życia obywateli. Nie da się bowiem zaprzeczyć, że ogień i powódź są to prawie najwięksi i najbardziej niedostępni wrogowie ludzkości.

To też społeczeństwo — w zrozumieniu najżywotniejszych swych interesów, wszędzie w miarę swych środków organizuje karne zastępy straży pożarnych, by każdej chwili być gotowym do walki ze strasznym żywiołem.

Za wzór dobrze zorganizowanej straży pożarnej ochotniczej — może posłużyć straż pożarna w małem miasteczku Milówce, położonem obok Żywca.

Założona w roku 1889 długo była prześladowana brakiem funduszów i z tego powodu nie mogła przez dłuższy czas należycie się rozwinąć. Czegóż jednak nie dokażą dobre chęci i ofiarność obywateli? Już w roku 1903 dzięki troskliwości pana Schneidra, c. k. radcy sądu kraj. prezesa straży ogniowej, tudzież skutecznej działalności wydziału strażackiego, wreszcie gorliwej i praktycznej pracy pana Franciszka Zyzaka, naczelnika straży, straż zorganizowała się tak, iż może śmiało stawić czoło niebezpieczeństwu ognia.

Z zebranych datków i subwencyi zakupiono w r. 1903 potrzebne przybory pożarne, tudzież umundurowanie dla 32 czynnych członków.

W roku 1904 sprawiono sztandar za kwotę 600 koron, którego poświęcenie odbyło się w listopadzie 1904. Wstęgę do tegoż sztandaru ofiarowali państwo drowie Grabowscy w Milówce. Również za staraniem tow. straży pożarnej zakupiła zwierzchność gminna nową czterokołową sikawkę kosztem 2400 koron, której poświęcenie odbyło się w roku 1904. Obecnie więc posiada straż 2 sikawki czterokołowe i inne rekwizyta ratunkowe.

Zdjęcie fotograficzne, dołączone do niniejszego artykułu przedstawia grupę członków czynnych straży pożarnej wraz z sztandarem, tudzież członkami wydziału, a to: Prezes p. Schneider, (1) członkowie wydziału p. dr. Grabowski (2), Kuźniewicz (3), p. Reisna (4), p. Zyzak, naczelnik straży (5), Jeleśniański, zastępca naczelnika (6).



Arcyksiążę szeregowcem: Były arcyksiążę austryacki Leopold Salvator w mundurze generała.

Arcyksiążę szeregowcem.

Przyzwyczailiśmy się do tego, że członkowie domów panujących piastują w armii najwyższe godności. Prawie wszyscy, o ile na to wiek ich pozwala, są generałami. Zdziwieniem też zapewne przejmie każdego wiadomość, że jeden z arcyksiążąt musi służyć w armii czynnej w stopniu zwyczajnego szeregowca. O fakcie takim donoszą właśnie z Szwajcaryi, gdzie w tych dniach powołano pod broń do czynnej służby byłego arcyksięcia austryackiego Leopolda Ferdynanda, który obecnie przebywa w Szwajcaryi jako obywatel Leopold Wölfling.

W obecnych czasach zdarza się to coraz częściej, że panujący i członkowie ich rodzin zrywają z przestarzałym szablonem i dają folgę swym uczuciom. Coraz częściej dzisiaj słyszymy o mezaliansach, o małżeństwach książąt i arcyksiążąt z kobietami nie tak wysoko urodzonemi, chociaż każdy taki mezalians przypłacają utratą godności i zamykają sobie jasną może przyszłość. I arcyksiążę Leopold Ferdynand zerwał krępujące go węzły dworskie. Od młodości pragnął on oddychać swobodnie, postępować według tego, co mu dyktowało serce. Spotkał w życiu kobietę, która obudziła w nim miłość. Nie tę miłość szablonową, przelotną, ale miłość szczerą, płomienną. I przed półtrzecia rokiem zelektryzowała świat wiadomość, że arcyksiążę Leopold zrzekł się rangi generała, jaką piastował w armii austryackiej, zrzekł się dostojeństw, zmienił nazwisko na Leopold Wölfling i ożenił się z panną Adamowiczówną. Młoda para przeniosła się do Szwajcaryi, gdzie w zacisznej okolicy zakupiła sobie dworek, w którym mieli dalej żyć w ciszy, zdala od gwaru dworskiego życia, oddani tylko sobie. W ogródku swoim, uprawianym przez szczęśliwe małżeństwo, zapomniał arcyksiążę o całym świecie. Oczarowała go natura, oczarowała sielskość i pogoda słonecznego życia u boku kochającej i kochanej przezeń kobiety.

Leopold Wölfling, były arcyksiążę, urodził się w Salzburgu w roku 1868. Młodszą jego siostrą jest księżna Luiza, była następczyni tronu saskiego, obecnie hrabina Montignoso. Jako obywatel szwajcarski musiał Leopold Wölfling odbyć służbę wojskową. Powołano go w tych dniach do armii, gdzie służyć musi jako prosty szeregowiec.

Podajemy obok fotografię byłego arcyksięcia, obecnie obywatela szwajcarskiego, Leopolda Wölflinga.



Ochotnicza straż pożarna w Milówce: Grupa członków czynnych straży pożarnej z prezesem p. Schneidrem na czele wraz z członkami wydziału.

Ohydne morderstwo.

Święta to prawda, że najdzikszem, najwstrętniejszem zwierzęciem jest człowiek, który stracił wszelkie poczucie różnicy między złem i dobrem, człowiek o zbrodniczych upodobaniach i rozhukanych namiętnościach. Biada, gdy w takim człowieku zbudzi się raz zwierzę, drzemiące na dnie podłej jego duszy! Straszny przykład takiego zwyrodnienia, wprost niebywałego rozbestwienia natury ludzkiej, zdarzył się niedawno temu w galicyjskiem miasteczku Dolinie. Wypadek tem więcej zastraszający i ponury, że władzom bezpieczeństwa pomimo skrupulatnych dochodzeń i poszukiwań — nie udało się dotychczas wcale natrafić choćby na ślad zbrodniarza.

W Dolinie żyło stare małżeństwo, Iwan Kucharz i jego żona, pożycie których nie odznaczało się wcale przykładną miłością i wzajemnem przywiązaniem. Przeciwnie, Iwan bił często swoją żonę, a i ona dłużną mu nigdy nie została, tak, iż nieraz sąsiedzi interweniować musieli w zajadłych sporach małżeńskich. Kucharzowie uchodzili za ludzi bogatych i niezmiernie skąpych. Od dwóch dni zapanował jednak zupełny spokój i cisza w domostwie kłótliwych małżonków. To wydało się sąsiadom ich nieco podejrzanem i postanowili przekonać się, co za przyczyna jest tego spokoju. Niestety! był to już spokój śmierci!... O godz. 11 rano wyłamano drzwi, a okropny widok przedstawił się oczom obecnych!

Na łóżku obok siebie leżało małżeństwo, w okropny sposób zeszpecone. Sprawca mordu, udusiwszy oboje, pchnął jeszcze Kucharza trzykrotnie nożem w szyję, następnie kamieniem rozwalił mu czaszkę, rozbijając nos i nakoniec zgniótł mu klatkę piersiową. Żonie zaś jego po zaduszeniu połamał wszystkie żebra, rozpruł brzuch i wypuścił z niej wnętrzności. Kto jest sprawcą tego ohydnego mordu, i co go skłoniło do tego, jak to już wspomnieliśmy, dotychczas nie wyjaśniono.

Komisya sądowo-lekarska, przybyła tego samego dnia z Czortkowa, stwierdziła tylko mord i nakazała pogrzeb trupów.

Podczas domowego przeglądu przez komisyę znaleziono w skrzyni 80 koron, prawdopodobnie nie było u nich więcej pieniędzy. Wszystko wskazuje na to, że zbrodni dopuszczono się dla rabunku.

Rycina nasza przedstawia straszną scenę mordowania, gdy złoczyńca, wtargnąwszy do mieszkania Kucharzów — rozbija kamieniem czaszkę gospodarzowi, uporawszy się już poprzednio z jego żoną.



Ohydne morderstwo: Morderca rozbija Kucharzowi czaszkę kamieniem.

Gwałty tureckie w Macedonii.

Macedonia jest od kilku lat widownią ustawicznej wojny domowej. Powstańcy macedońscy, którzy co wiosna wyłaniają się ciągle, jakby z pod ziemi, nie dadzą nigdy odetchnąć Turkom, którzy się u nich jak pająki zagnieździli i usiłowali omotać ich swą przędzą. Antagonizm między Turkami



Gwałty tureckie w Macedonii: Żołnierze tureccy, strzelający do podróżnych.



Pierwsza opera polska dla dzieci: Scena pod krzyżem.

a Macedończykami wzrasta z każdym dniem, a gwałty tureckie nie ustają. Nie pomaga i międzynarodowa żandarmerya, zorganizowana tam dla utrzymania porządku. Nienawiść narodowa wybucha coraz groźniej i wkrótce znowu, jak się zdaje, nadejdzie czas, że Macedonia stanie znowu w płomieniach powstania.

Na ilustracyi naszej, zamieszczonej obok, podajemy obraz jednego z mnóstwa wypadków gwałtu jakiego się dopuszczają wojska tureckie.

Na pograniczu jednej wsi oddział macedoński urządził sobie ćwiczenia w strzelaniu do celu. Tarczę, mającą służyć za cel, umieszczono na środku jedynej, do wsi prowadzącej drogi. I cóż się dzieje? Turcy strzelali z dość dużej stosunkowo odległości, niewidziani przez przejeżdżających drogą. Ale właśnie wtedy droga była zapełniona, gdyż prawie jeden za drugim jechały wozy ze sianem, świeżo zebranem z pól. Nagle jeden z jadących spadł i brocząc krwią, tarzał się po ziemi, wydając z siebie okrutne jęki. Wśród jadących zapanowało przerażenie. Słyszeli huk wystrzału, ale nie widzieli nawet w pierwszej chwili, skąd strzał pochodzi. Wtem spada z wozu drugi, za chwilę pada trzeci, idący obok wozu. Chłopi przerażeni pędzą konie, aby się czemprędzej wydostać z tego niebezpiecznego miejsca. I uciekają, co mają sił. Ale na drodze tarza się w bólach przedśmiertnych, tarza się kilku ludzi. Zapomnieli o nich i odjechali, aby przynajmniej swoje życie uratować. A żołnierze tureccy strzelali dalej bezkarnie, nie dbając i ani myśląc o tem, że mogą zabić przechodniów.

Wobec takiej prowokacyi, takich barbarzyńskich postępków armii tureckiej, trudno się dziwić, że Macedończycy powstają i nawzajem mordują Turków, gdzie się da. Jest to usprawiedliwiony zupełnie odwet za doznane gwałty, zupełnie usprawiedliwiona zemsta. To też codziennie przynoszą telegramy coraz świeże wieści o nowych rozruchach, o napadach powstańców macedońskich na Turków i na odwrót.

Pierwsza opera dla dzieci.

Ogół nie zdaje sobie dotychczas sprawy z doniosłości zabawy, jako czynnika wychowawczego, tymczasem odgrywa ona rolę w pedagogii niezmiernie wybitną, powiemy pierwszorzędną. Istota zabawy polega na przeinaczeniu rzeczywistości, na przeobrażeniu miejsc i rzeczy, prowadzącem do nadania formy konkretnej jakiemuś obrazowi, do wyrażenia jakiegoś pomysłu, przyczem wyobraźnia ma zupełną swobodę wykazania swej energii twórczej i puszczenia wodzy najbujniejszej fantazyi. Wymaga ona od dziecka pewnej kultury, jest bowiem wytworem jego wewnętrznej istoty i krystalizuje się w głębi jego duszy w szeregu obrazów. Pomysłowość w zakresie świata dziwów zaznacza się u dzieci upodobaniem do słuchania bajek i opowiadań, które każą sobie opowiadać bez końca. Znakomity pedagog francuski Ribot powiada, że dzieci przypominają w tem ludy na pół ucywilizowane, które, słuchając swoich rapsodów i przejmując się nimi całą duszą, przeżywają wszystkie wzruszenia, odpowiadające wypadkom opowieści. Jest to przedwstępny okres twórczości, stan półbierny, pół-czynny, okres przygotowawczy, wiodący do rozwoju władzy twórczej.

Zabawa jest dla dziecka rozrywką, a równocześnie nauką, a rozwijając umysł, zaprawia je równocześnie do pracy.

Pomiędzy zabawami, wpływającemi na rozwój inteligencyi dziecka, pierwszorzędne miejsce zajmują przedstawienia teatralne, z powodu poważnej roli, jaką odgrywa w nich twórczość. Obudzają one w dzieciach poczucie estetyczne, zaostrzają ich uwagę, rozwijają zmysł spostrzegawczy, wreszcie kształcą zmysł artystyczny.

Cokolwiek możnaby przeciwko teatrom dziecinnym powiedzieć, to jednak przyznać potrzeba, że należą one do najdzielniejszych czynników wychowawczych, o ile, rozumie się, nie daje się dzieciom sposobności do rozwinięcia w sobie uczucia próżności do dalszego zbierania wawrzynów, tanim nabytych sposobem. Wszystko to zależy od wychowawców, którzy nad tą miarą ściśle czuwać powinni, dziecko bowiem łatwo stracić ją może z niepowetowaną szkodą dla przyszłego swojego rozwoju.

Doniosłość tego znakomitego czynnika wychowawczego wybornie zrozumiał pan Gołębiowski, nauczyciel stanisławowskiego seminaryum nauczycielskiego, który na tle znanej ballady mickiewiczowskiej napisał wyborną sztukę dla dzieci p. t. „Powrót taty“, do której słusznie ceniony kompozytor i nauczyciel lwowski pan Henryk Jarecki napisał bardzo piękną muzykę. W ten sposób powstała pierwsza polska opera dla dzieci. Obchodzi ona dzisiaj już dziesięcioletni swój jubileusz. Wystawiono ją z powodzeniem kilkanaście razy we Lwowie, a także we Wiedniu, za staraniem p. Piusa Twardowskiego.



Pierwsza opera polska dla dzieci: Jan Gołębiowski, autor libretta do opery dla dzieci p. t.: „Powrót taty“.

W Stanisławowie wystawiono tę operę siłami wyłącznie dziecinnemi. Przedstawili ją uczniowie szkoły ludowej im. Czackiego kilkakrotnie. Autor sam, przy pomocy chętnych temu dziełu nauczycieli tej szkoły, zajął się wyreżyserowaniem swojej sztuki i trzeba przyznać, że malcy z trudnego zadania wyszli zwycięsko. Przedstawienie poszło bardzo gładko. Powtórzono je kilkakrotnie, a publiczność, która zapełniła każdym razem szczelnie amfiteatr współczuła szczerze z dzieciakami, oczekującymi powrotu taty z drogi, pełnej dzikiego zwierza, zbójców i najeżonej niebezpieczeństwami.

Obrazki nasze przedstawiają kilka scen malowniczych z tej pierwszej polskiej opery dla dzieci, jakoteż wizerunek jej autora.

Śmierć króla niekoronowanego.

Dzisiaj największą władzę na świecie ma pieniądz i człowiek, który ma miliony, jest faktycznie królem bodaj czy nie lepszym niż niejeden król, którego skronie złota zdobi korona. Właściwymi władcami świata są dzisiaj, można śmiało powiedzieć, milionerzy, skupiający w swym ręku kapitały olbrzymie, które, umiejętnie używane, w krótkim czasie się potrajają.



Pierwsza opera polska dla dzieci: Zbójca pod krzyżem.

Przed kilku dniami zmarł w Paryżu jeden z takich ludzi, baron Alfons Rotszyld, król bankierów i bankier królów. Był on najstarszym synem zmarłego w roku 1868 barona Jakóba, który jako najmłodszy z pięciu synów Meyera Anzelma przybył w r. 1812 do Paryża i tam założył dom bankierski. Po jego śmierci syn objął kierownictwo interesów. Za panowania króla Ludwika Filipa paryska filia tej wszechświatowej firmy zyskała dominujący wpływ na francuskim rynku pieniężnym. Jakób Rotszyld był znanym oryginałem, ale nie cieszył się sympatyą. Nielitościwie ośmieszał go zaś na każdym kroku Henryk Heine. Syn Jakóba, zmarły obecnie baron Alfons zdołał sobie zdobyć wybitne stanowisko w towarzystwie paryskiem; spokrewniony był z arystokracyą nietylko finansową, ale i rodową. Przed kilku laty utracił na polowaniu — był bowiem zapalonym myśliwym — jedno oko. Ożenił się z siostrą lorda Nataniela Rotszylda. W r. 1860 zbudował sobie w pobliżu Paryża, we wsi Ferrieres wspaniały zamek ze wspaniale urządzonym parkiem, gdzie bardzo często ugaszczał cesarza Napoleona III. Jako prawdziwy miłośnik sztuki uczynił on z tego zamku prawdziwe muzeum najcenniejszych skarbów z dziedziny artyzmu.

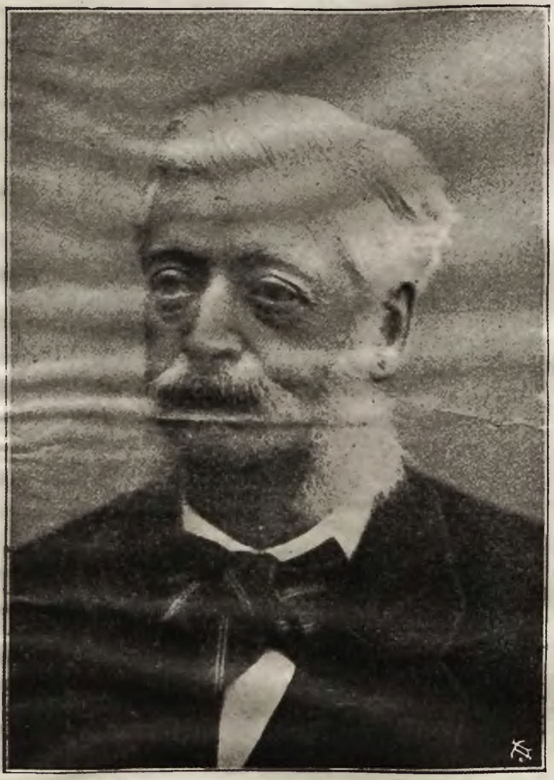
Baron Alfons Rotszyld był duszą i najinteligentniejszą głową całej wszechświatowej firmy. Miał przytem pewne przekonania polityczne, które wywierały znaczny wpływ na jego interesa. Tak np. nie przystąpił do konsorcyum ostatnich pożyczek rosyjskich. Doskonale skreślił go mistrzowskiem piórem Zola, w powieści „Pieniądz“.

W ostatnich latach wspólnikami banku firmy zostali dwaj młodsi Rotszyldowie, którzy kierować będą dalej tą wszechświatową firmą.

Podajemy obok portret zmarłego milionera.



Pierwsza opera polska dla dzieci: Scena końcowa.



Smierć króla niekoronowanego: Baron Alfons Rotszyld.

Zgon naczelnika Dyrekcyi Skarbowej w Krakowie.

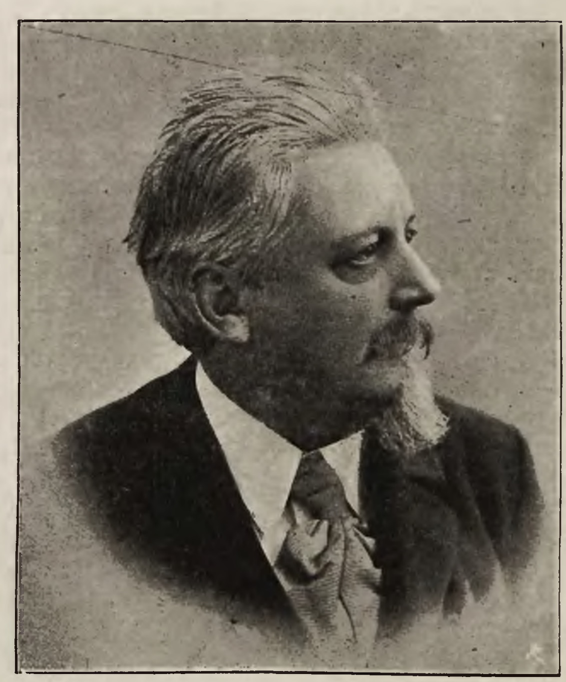
Kierownictwo Dyrekcyi skarbowej jest stanowiskiem wysokiem, ale zarazem bardzo odpowiedzialnem i trudnem, wymagającem wiele znajomości prawa, praktyki zawodowej i taktu, koniecznego nieodzownie w pogodzeniu sprzecznych nieraz interesów obywateli — i rządu. To też na odpowiedzialne to stanowisko powołuje ministeryum wyjątkowo uzdolnionych urzędników. W ostatnich kilkunastu latach przesunął się cały szereg dyrektorów Dyrekcyi Skarbowej, wytrawnych prawników i znawców skarbowości, a przy tem znanych, cieszących się pełnem uznaniem społeczeństwa obywateli.

Wymienimy ludzi tej miary i wiedzy, jak radca Dworu ś. p. baron Hayling-Degenfeld, radca dworu ś. p. Jan Franciszek Krumłowski, ks. Poniński, ś. p. hr. Dzieduszycki — i zmarły przed kilku dniami Karol Sośnicki, radca dworu, naczelnik krakowskiej dyrekcyi okręgu skarbowego. Ś. p. Karol Sośnicki nie odrazu rozpoczął swą karyerę jako urzędnik państwowy. Urodzony w r. 1840., pełnił w młodych latach obowiązki lektora ks. Karola Szajnochy. Rok 1863 powołał go na pole walki w obronie Ojczyzny. Po upadku powstania i dłuższej bytności za granicą wstąpił do służby skarbowej i przenoszony kolejno do rozmaitych miast Wschodniej Galicyi — przebył wszystkie szczeble urzędniczej, skarbowej karyery. We wrześniu 1902 mianowany został rzeczywistym radcą dworu i przeniesiony został do Krakowa w miejsce śp. hr. Michała Dzieduszyckiego. W ostatnich miesiącach miał rozpocząć kilkutygodniowy urlop, celem poratowania zdrowia. W zeszłym tygodniu udar mózgowy położył kres pracowitemu jego życiu. Pogrzeb śp. Karola Sośnickiego odbył się w piątek dn. 2 czerwca b. r. Zwłoki przewiezione zostały do Stanisławowa. Z powodu zgonu naczelnika, na gmachu dyrekcyi skarbowej przy ulicy Kanoniczej wywieszono żałobną chorągiew.

Kierownictwo dyrekcyi okręgu skarbowego z powodu śmierci śp. Karola Sośnickiego objął p. radca Ignacy Petersch, który już sprawował zastępstwo podczas urlopu śp. Karola Sośnickiego.

* * *

W niniejszym numerze podajemy portret zgasłego naczelnika Dyrekcyi skarbowej śp. Karola Sośnickiego.



Zgon naczelnika dyrekcyi skarbowej w Krakowie: Ś. p. Karol Sośnicki.



Pierwsza opera polska dla dzieci: Zbiorowa grupa grających.



O dwa Miliony

Amerykańska powieść kryminalna.

Z angielskiego przełożył J. R.

3 (Ciąg dalszy).

Sierżant schylił się, podniósł go, zbadał starannie resztki wielkiego zamku i wyciągnął z nich kilka przepalonych nici, których barwa utwierdziła go w przypuszczeniu, że pochodzą one z tej właśnie koszuli, której resztki znalazł poprzednio na ziemi. Zwrócił się więc do przełożonego, pokazał mu co znalazł i rozśmiał się

Kapitan, śmiejąc się również, potrząsł głową.

— Wiem, co pan myśli — rzekł — robota nie jest panu nieznana.

— „Rozbicie kasy cicho i bez szelestu“ — szepnął detektyw. — Znam tylko jednego, który to zrobić potrafi i głowę moją daję w zakład, że to on: oddział 3, strona 241, numer 1. Czy mam go panu bliżej określić? Album B, rycina 1674. *Well?*

Przez chwilę patrzył kapitan zamyślony w ziemię, potem podniósł zdumiony wzrok w górę.

— Na świętego Jana — rzekł — Cool, masz pan racyę. To rozbijacz kas Bill Crookey. Patrz pan, od dwóch miesięcy jest wolny i jeszcze nie dał słyszeć o sobie. Haha! Mister Vanderhook może się pocieszyć — swoich milionów już widzieć nie będzie. Wyjdź pan teraz na pole i zbadaj tam wszystko; może się znajdzie jaki ślad, jeżeli tu jeszcze potrzeba śladów.

Spiesznym krokiem oddalił się detektyw, podczas gdy kapitan zwrócił się znowu do stojącego bezradnie szefa firmy, jego powiernika i do biednego Murphy, który z widocznem zadowoleniem łykał ciepłe wino ze stojącego przed nim pokaźnych rozmiarów dzbanka.

— No, panowie, a i wy, Murphy, posłuchajcie mnie chwileczkę — rzekł uprzejmie — my badania nasze tak, jakbyśmy już ukończyli. Ślad złodzieja już znaleziony, chodzi tylko o wyjaśnienie kilku, dotąd jeszcze ciemnych, punktów. O ile mnie się zdaje, to złodzieje mieli w jednym z urzędników bankowych wspólnika i pomocnika, który im ułatwił robotę przez długie i skrupulatne przygotowania. Czy pan ma jakie podejrzenie, choćby nawet bardzo słabe, przeciw jakiemukolwiek z pańskich urzędników, mister Vanderhook?

Stary pan patrzał przez chwilę ze smutkiem na podłogę, potem otrząsł się nagle, jakgdyby go ciarki przeszły i zrobił ręką ruch zaprzeczający.

— Nie, sir, nie mam najmniejszego podejrzenia.

— A pan, mister Zygmunt?

Mister Zygmunt, milcząc, ruchem głowy zaprzeczał, ale i jego twarz wyrażała nieokreśloną jakąś trwogę.

— A zatem — ciągnął urzędnik dalej — powiedzcie mi panowie, ale krótko i węzłowato, czy oprócz tego człowieka, oprócz Boba Murphy, pełnił kiedykolwiek straż nocną kto inny?

Zdumiony spojrzał nań szef, jakoteż mister Zygmunt; zanim jeden z nich zdążył na to pytanie odpowiedzieć, ozwał się Murphy w najwyższem zdumieniu:

— Na świętego Grzegorza, policya musi o wszystkiem wiedzieć. Rzeczywiście ja chorowałem przez dwa tygodnie i podczas tego inni — hm, to znaczy ja nie mogłem pełnić straży.

— Tak. A wiecie może także, kto was zastępował?

— Nie, tego mi nie powiedziano. W interesie, haha, tam szeptano coś o piekielnie dostojnych gościach, czem mógłbym się snadnie chełpić, ale to był nonsens.

— Niby co? Mówcie jasno. O czem szeptano?

— No więc, tylko niech mi pan tego nie weźmie za złe, mister Zygmunt — rzekł stróż, korząc się najpoddaniej — mówiono, że pan sam i młody mister Vanderhook podczas mojej choroby pełnili moją służbę. Ale, zdaje mi się, że to jeno humbug i moi koledzy chcieli mnie wziąć na kawał.

Urzędnik otworzył szeroko oczy. Zdawało się, że przez głowę przebiegła mu nowa myśl. W tej chwili jednak odwrócił się, jakgdyby chciał ukryć twarz przed obecnymi i zaczął coś notować. Kiedy się znowu zwrócił ku nim, twarz jego miała wyraz uprzejmy i do pewnego stopnia obojętny.

— No, panowie, czy tak było w istocie? — zapytał, śmiejąc się.

— Ten człowiek mówi prawdę — odparł mister Vanderhook. — Kiedy on zachorował, nie byłem zdecydowany, komu powierzyć tę ważną funkcyę, aby go zastępował. Moi urzędnicy, z łatwo zrozumiałych powodów, byliby się nie zgodzili pełnić tę, w ich mniemaniu, niższą służbę, a zatrudnionych u mnie podurzędników, używanych zwykle do posług, oraz innych młodych ludzi nie znałem na tyle, abym mógł z pośród nich wybierać. Wtedy mój powiernik — chciałem to zatrzymać w tajemnicy — wybawił mnie z kłopotu i zdecydował się spędzać tutaj noce, a luzował go mój syn, mister Miles Vanderhook. Wprawdzie nie w ten sposób, jak to podał Murphy, ale w następujący: mister Zygmunt czuwał przez pierwszy tydzień, mój syn przez drugi.

— Dziękuję panu. Kiedyż Murphy powrócił do służby?

— Przed ośmiu dniami — odpowiedział mister Zygmunt, a Bob Murphy dodał równocześnie:

— To jest moja siódma noc.

— Jeszcze raz dziękuję. A teraz, mister Zygmunt, jeszcze jedno pytanie. Czy pan kiedy podczas czuwania nie zauważył kiedy jakiego szelestu, jakiegoś podejrzanego skrobania po murze, lub coś podobnego?

Mister Zygmunt począł trzeć ręce, wzruszenie opanowywało go coraz bardziej, z trudem udawana obojętność opuściła go.

— Nie, sir, najmniejszego szelestu — rzekł z zapartym oddechem — zawsze było wszystko spokojnie. Czyż to możliwe, żeby dlatego, że ja i mister Miles odbywaliśmy tutaj straż, miało paść na nas podejrzenie?

— Trudno, to się nie da zmienić — odpowiedział nagle kapitan i zwrócił się szybko do stróża.

— Bob Murphy, uważajcie, zbliżamy się do końca. Zbierzcie wszystkie myśli i opiszcie mi dokładnie, jak wyglądali obaj złodzieje. Dalej!

— Opiszę ich, sir, i to tak dokładnie, jakbyście ich tu przed sobą widzieli — rzekł stróż. — Czegoś podobnego nie zapomina się tak łatwo, panowie. A więc — kiedym się zoryentował, o co chodzi, jeden stał tu, na tym kamieniu posadzki, tuż obok wysokiej kasy i wiercił. To był ten mniejszy, drugi był nadzwyczaj wysoki —

— Wysoki, nadzwyczaj wysoki, powiadacie? — wyrwało się z ust szefa, który za przykładem swojego powiernika również stracił zimną krew.

— Tak, panie — skinął głową Murphy — ale to dopiero ten drugi. On pracował bez czapki i zauważyłem, że jest porządnie łysy...

— Na chwileczkę — przerwał w tem miejscu kapitan — ja będę mówił dalej. Był on około cztery do pięciu stóp wysoki, brodę miał gładką, na głowie niedużo włosów, głos jego miał dźwięk ostry, chodził trochę pochylony, a u lewej ręki brakowało mu małego palca — zgadza się?

Bob Murphy patrzał na urzędnika błyszczącemi oczyma. Na twarzy jego malowało się naprzemian zdziwienie i entuzyazm, ale trwało to bardzo krótko, bo w tej chwili zrobił skromną minę i rozdziawił usta.

— No, cóż się gapicie, tak czy nie?

— Tak jest — odrzekł zalękniony — pan, zdaje się, zna tego włamywacza?

— Znam go. Opiszcie drugiego.

— *Well*, twarzy ich...

— Nie mogliście widzieć, bo draby byli w maskach — to wiemy.

— No więc; drugi był chłop ogromnie wysoki, jak mnie się widzi, wyższy nad sześć stóp. Miał na sobie pewnego rodzaju kapiszon na głowie, ale kiedy się schylił, kapiszon spadł i zobaczyłem wtedy, że ma czarne jak węgiel włosy, chociaż w tej chwili wdział kapiszon napowrót. Na palcu miał pierścień z wielkim brylantem; spodnie miał w paski. O ile mnie pamięć nie myli, zdaje mi się, że miał brodę, długą brodę...

— Dobrze; to wszystko. Pijcie sobie teraz wino, więcej was już nie potrzebuję — rzekł urzędnik — Jednak pan, mister Vanderhook, powiedz mi pan, czy nie zna pan przypadkiem jakiej osoby, na którąby padło pańskie...

Kapitan przerwał i zdumione oczy wlepił w szefa banku i jego powiernika. Starzec nie zdołał już dłużej panować nad swemi uczuciami, chwycił za rękę mister Zygmunta, głowę wsparł na jego piersi i łkał cicho.

— Co się tu dzieje? — zapytał skwapliwie urzędnik. — Sir, mister Vanderhook, co to ma znaczyć?

Ale nie otrzymał odpowiedzi. Czoło pokryło mu się zmarszczkami, oczy przymrużył, zagryzł wargi, zdawało się, że zbiera wszystkie siły, aby skierować je na jeden punkt i przebić chaos napływających myśli. Wyprostował się i podszedł do szefa, ale, zanim usta otworzył, z zewnątrz dał się słyszeć jakiś szmer, drzwi się otworzyły i policysta stanął jak skamieniały, do posągu podobny, jakby w ziemię wrósł.

Na progu ukazał się młody, nadzwyczaj przystojny mężczyzna, przytem niezmiernie wysoki. Wysokość jego stanowczo przenosiła sześć stóp. Twarz jego zdobiła wspaniała czarna broda, a z pod filcowego kapelusza spływały krucze włosy. Jego duże, piwne oczy spoczęły w jednej chwili na rozbitej kasie i wpiły się w nią w niemem zdziwieniu. Jedną nogą stanął w pokoju, druga zatrzymała się na progu. Kiedy podniósł rękę, aby zdjąć kapelusz, na palcu można było zobaczyć wspaniały pierścień, ozdobiony wielkim, błyszczącym brylantem.

Policysta podszedł do szefa, na którego obliczu malowało się kolejno uczucie trwogi, zdziwienia i zwątpienia i zapytał ostro:

— Kto jest ten pan, sir?

— To mój syn, mister Miles Vanderhook — odrzekł starzec grobowym głosem i wyprostował się.

— A zatem — ciągnął dalej urzędnik, pokazując przybyłemu blaszaną odznakę policyjną i równocześnie położywszy dłoń na jego ramieniu — a zatem, mister Miles Vanderhook, w imieniu prawa aresztuję pana, ja, kapitan policyi nowojorskiej. Zbliż się pan, obecnie jesteś moim więźniem.

III.

Kapitan nowojorskiej policyi, jedenastego obwodu, Ulisses Tomson, siedział w swoim gabinecie przy biurku, pogrążony w myślach. Przed nim stał detektyw Cool, z ołówkiem w ręku, jakby czekając, co jego szef powie. Po chwili podszedł cicho do szafy, wyjął z niej mapę jedenastego obwodu nowojorskiego i rozłożył ją przed kapitanem. Ten, spojrzawszy na nią, rzekł:

— Masz pan racyę. Niech mi pan jednakże zda raport, byle krótko.

— Wiesz pan już wszystko, kapitanie. Znalazłem wszystko tak, jak pan przypuszczałeś. Złodzieje przeleźli przez żelazną bramę pod numerem piętnaście, o tu — rzekł, wskazując na mapę — przeszli przez dziedziniec, przeleźli mur, oddzielający go od numeru siedmnastego i stanęli przed oknem banku. Jedynem odkryciem, mającem pewną wagę, jest fakt, że okno było w ten sposób obrobione, iż złodzieje mogli je wyjąć razem z ramą i kratami. Znalazłem ślady stóp trzech mężczyzn, dwóch wielkich, jednego mniejszego, a dalej tę szmatę, będącą, zdaje się, częścią chustki z kolorowym szlakiem. Oto jest.

Bacznym wzrokiem przyglądnął się kapitan podanej mu szmacie, poczem zawinął ją w papier, na którym napisał parę wierszy i pakiecik ten włożył do zapełnionej już papierami wielkiej urzędowej koperty.

— Dobrze, panie Cool. Niech pan zawoła innych. Udzielę im pewnych instrukcyi i niech się rzecz ta sama dalej wyjaśnia.

Detektyw Cool otworzył drzwi i wpuścił pięciu panów, ubranych po cywilnemu w zwyczajne mieszczańskie ubrania, którzy w milczeniu stanęli przed swoim przełożonym.

— Panowie — rzekł kapitan — sierżant Cool uwiadomił was już o tem, co zaszło. Pozostaje mi zatem tylko wyznaczenie każdemu z panów placówki. Pan, mister Blade, udasz się w towarzystwie Coola na poszukiwanie za Billem Crookeyem tym włamywaczem kas; szczególnym sposobem widziano go dzisiaj jeszcze w tym obwodzie. Polecam jednak panom wszystko robić bez przesady. Nie aresztujcie go, tylko obserwujcie na każdym kroku i zdajcie mnie raporty. Pan, mister Oven Torry, wstąpisz jako buchalter do banku pod firmą Robert S. Vanderhook i będziesz uważał na ludzi, tam zajętych. Mister Vanderhook, syn i powiernik szefa, mister Zygmunt, są wtajemniczeni we wszystko i wiedzą o tem, że pan przyjdziesz. A panowie, mistres Wilden, Schmidt i Loser, panowie obejmiecie straż nad firmą. Mister Wilden będzie pilnował młodego Vanderhooka, mister Schmidt starego, a mister Loser powiernika, mister Zygmunta. Wszyscy trzej bowiem są podejrzani. Nie ulega wątpliwości, że jeden z nich był z włamywaczami w porozumieniu. Dlatego trzeba nad nimi czuwać bez przestanku, oczu z nich nie spuszczać. Ludzi będziecie panowie mieli do rozporządzenia tylu, ilu zechcecie. Główną rzeczą jednak, moi panowie, tyczącą się wszystkich, od Billa Crookeya do mister Zygmunta, jest: Żaden z nich nie może miasta opuścić, ani też zniknąć policyi z oczu. A teraz, panowie, na stanowiska. Szczęść Boże!

— Szczęść Boże! — odrzekli chórem detektywi i spiesznym krokiem opuścili pokój. Tylko Cool na skinienie kapitana pozostał i czekał.

— Widzisz pan, sierżancie — rzekł kapitan — dobrze ich weźmiemy. Ale tu dla pana jeszcze jedno zlecenie. Jeśli faktem będzie to, co przypuszczam, no, to wtedy może nam pomódz jedynie *detektyw P.* z szóstego obwodu. Musimy go sobie pożyczyć. Cóż pan na to?

Szpakowaty sierżant uśmiechnął się.

— Ma pan racyę, kapitanie. Jeżeli włamywaczom rzeczywiście młody Vanderhook drogę pokazał, to detektyw *P.* jest tu koniecznie potrzebny. Czy mam zanieść rozkazy do szóstego obwodu?

— Tak jest. Oddaj pan kapitanowi tę kopertę, i proś go pan, aby w tej chwili detektywa P. odkomenderował do nas. Proszę. A teraz do roboty.

Detektyw wziął podaną kopertę, tę samą, do której poprzednio kapitan włożył znaleziony przezeń kawałek chusteczki, ukłonił się i wyszedł.


Na progu ukazał się młody nadzwyczaj przystojny mężczyzna, przytem niezmiernie wysoki.

IV.

Popołudnie na Broodway w New-Jorku.

Ruch, jaki się tylko w miastach amerykańskich daje zauważyć. Ruch wszędzie, na środku ulicy, przed wspaniałemi wystawami sklepów i ruch na górze, ponad ulicą. Wozy, wózki, dorożki i wspaniałe ekwipaże krezusów amerykańskich tworzą wraz z tysięczną masą przechodniów nad wyraz barwną mozajkę. Ponad głowami przechodniów pędzą z łoskotem pociągi napowietrznej kolei, której słupy tworzą na ulicy rodzaj nowoczesnej, żelaznej alei. Na dole istna rzeka głów ludzkich; jedni idą na prawo, drudzy, w inną podążający stronę, na lewo; tak chce samorząd praktycznej ludności nowojorskiej. Wielką część elegancko ubranych panów i pań stanowią murzyni i niejedna, wspaniale, a nawet zbytkownie wystrojona dama, widziana z tyłu, nie różni się niczem od swych białych sióstr. Biada jednak, kiedy odwróci głowę! Ciarki przechodzą wtedy białoskórnego elegancika, który szedł za nią, jak za zjawiskiem, oczarowany jej ruchami i postacią, jeśli przypuszczalna Wenus ukaże mu swoje mięsiste wargi, płaski nos i wylakierowaną skórę. Czarnoskórzy dżentelmeni, których tu także pełno na każdym kroku, rzucają się w oczy wykwintnością swojej garderoby. Niema tu nic z proletaryatu murzyńskiego, zamieszkującego specyalną swoją dzielnicę, osławioną Bleeker-street. Tutaj każdy ubrany elegancko; spodnie w paski, biała kamizelka, doskonale skrojone anglezy, wysokie, lśniące cylindry, a nad tem wszystkiem dominuje nadmierna ilość złotych pierścieni i łańcuszków. Biali obywatele Nowego Jorku czują się wobec tego blasku zażenowani, ale patrzą na nich z góry, z pewnego rodzaju lekceważeniem, jak na dzieci. Bo też to są dzieci. Młoda cywilizacya, rozciągająca się zaledwie na jedno pokolenie, nie mogła ich zmienić. I urocze *ladies* białolice ignorują swoje czarne siostry. Ich brylanty i perły im nie imponują.

Na rogu Broodway, w miejscu, gdzie się Avenue krzyżuje z Broodway, stała młoda, wysmukła kobieta i badawczym wzrokiem obserwowała olbrzymi pałac narożny. Sądząc po jej postaci, nie mogła liczyć więcej, jak 18 lat. Ubrana była skromnie, w suknię niebieskiego koloru i czarny żakiet. Czarna woalka, spadająca z małego, ale eleganckiego słomkowego kapelusika, zasłaniała twarz jej w zupełności. Nie zdołała jednakże zakryć jej błyszczących, ruchliwych oczek, które z uporem wpatrywały się w narożny dom. Wogóle robiła wrażenie kobiety, która, choć młoda, musiała dawno obracać się między ludźmi i nabyła przez to niewymuszonej a faktycznej elegancyi światowca, nie tracąc jednakże przez to ani krzty ze swej kobiecości.

Olbrzymi dom narożny, który młoda dama obserwowała, był właśnie domem, w którym się mieścił bank Roberta S. Vanderhooka. Po chwili spuściła oczy z budynku, rozejrzała się po ulicy i wolnym krokiem udała się do banku. Na prawo od wejścia znajdowała się tam wielka sala, przegrodzona baryerą, za którą siedziało około 40 urzędników, każdy przy swoim biurku. Jeden z nich podszedł do baryery i skinął na nią, aby się zbliżyła.

— Pani sobie życzy?

— Chciałabym mówić z mister Milesem Vanderhookiem.

— Aha, z młodym panem Vanderhook — *all right!* — Niech się pani przedewszystkiem zwróci do mister Zygmunta, dyrektora tego biura, on tam siedzi w kącie, w samym rogu. Widzi pani? Tam.

Mister Zygmunt zrobił kwaśną minę, kiedy młoda dama przed nim stanęła.

— Moja pani, dziś, niestety, nie będzie pani mieć szczęścia — rzekł, rzucając przelotne spojrzenie na dziewczę — zgadnę bowiem, o co pani chodzi. Poszukujemy obecnie młodej damy, umiejącej pisać na maszynie i pani chce objąć tę posadę; nie prawdaż?

— Ja prosiłam tylko, czybym się nie mogła widzieć z panem Milesem Vanderhook — odpowiedziała wymijająco.

Mister Zygmunt zaczął kiwać głową.

— Well, czy chodzi o jakie sprawy, tyczące się interesu?

— Naturalnie!

— A godność pani, jeśli wolno zapytać?

— Mary Collins!

(Ciąg dalszy nastąpi).



Zaślubiny niemieckiego następcy tronu: Fryderyk Wilhelm, następca tronu niemieckiego.

Śmiertelny pojedynek.

Pojedynek, ten krwawy anachronizm, niegodny cywilizacyi XX wieku, ten barbarzyński zabytek, przypominający osławione średniowieczne „sądy Boże" — ma niestety! między najrozmaitszymi ludźmi jeszcze wielu wyznawców i zwolenników. W skuteczną walkę z tym morderczym obyczajem wystąpiły różne stowarzyszenia i instytucye, rozsiane dziś po całym świecie, jak ligi obrony czci, sądy honorowe, rozjemcze itp., wspierane w szlachetnych swych usiłowaniach przez ustawę, karzącą srogo i bezwzględnie wybryki pojedynkowe — jak niemniej i Kościół, który grozi klątwą i wiecznem potępieniem tak dla głównych aktorów, jak i komparsów pojedynkowych tragedyi.

Mimo tego jednak mania pojedynkowa nie została jeszcze wykorzenioną, a wielu, przyznając nawet teoryi bezzasadność tego rodzaju rozpraw honorowych — w praktyce uważa je za konieczne zło „malum necessarium" t. zn. za ostatnie przykre wyjście w poważnych konfliktach, czy powikłaniach honorowych. Po za tem wszystkiem – pomimo dość skrupulatnych postanowień t. zw. „kodeksu pojedynkowego" — rozprawa honorowa z bronią w ręku wkracza w ostatniej swej fazie nieraz w dziedziny nic wspólnego z honorem nie mające, staje się natomiast faktem podpadającym ocenie i karze ustawy — i w jej zrozumieniu określoną bywa jako zbrodnia rozmyślnego morderstwa.

Wypadek taki — ze śmiertelnym wynikiem zdarzył się niedawno na Węgrzech. Przyczyny pojedynku nie były tym razem bardzo błahe, a rozegrały się one na tle politycznem.

Na posiedzeniu węgierskiego parlamentu 27 b.m. miał poseł opozycyi Ludwik Navay mowę, którą partya przeciwna przerywała licznemi wybuchami śmiechu. Wtedy jeden z przyjaciół politycznych mowcy powstał zniecierpliwiony i nazwał takie postępowanie niegodnem.

Nastąpiła w parlamencie bardzo nieparlamentarna wymiana słów, której w całej rozciągłości, ze względu na przyzwoitość nie przytaczamy. Dość powiedzieć, że między delikatniejszemi padły wyrazy takie jak „ośle" i „bydle". Budująca ta dysputa prowadzoną była między posłem opozycyjnym, starym hr. Keglewiczem, liczącym 60 lat z górą, i postępowym posłem Hentzem, mającym zaledwie lat 28.

Nastąpił pojedynek. Hr. Keglewicz, który był stroną wyzwaną, zażądał surowych warunków, które też zrobili sekundanci, ułożywszy pojedynek na pałasze z pchnięciami, aż do niezdolności do dalszej walki. Pojedynek odbył się w poniedziałek, a hr. Keglewicz padł, otrzymawszy pchnięcie w serce. Pomijając już zasadniczą karygodność każdego pojedynku, wprost oburzającym jest fakt, że sekundanci dopuścili do spotkania z bronią starca, stojącego nad grobem, z młodzieńcem w kwiecie wieku. Wynik takiego pojedynku, gdzie szanse były tak nierówne, był chyba łatwo z góry do przewidzenia. Hr. Keglewicz został rapierem przeszyty na wylot i w parę godzin później umarł.

* * *

Rycina nasza przedstawia chwilę pojedynku, gdy starzec Keglewicz potyka się z młodocianym swym współzawodnikiem.



Zaślubiny niemieckiego następcy tronu: Księżniczka Cecylia Meklemburska, żona następcy tronu niemieckiego.

Zaślubiny niemieckiego następcy tronu.

Berlin obchodził w ostatnich dniach bardzo uroczyście zaślubiny następcy tronu niemieckiego. Narzeczona księcia Fryderyka Wilhelma, księżna Cecylia Meklemburska, przybyła do Berlina 3 b. m. i zamieszkała w zamku Bellevue. Rozpoczął się szereg uroczystości, który zakończył się wreszcie 6 b. m. we wtorek aktem ślubnym, kościelnym i cywilnym.

Pisma niemieckie rozpisują się z tej okazyi o młodym małżonku a przyszłym władcy Niemiec. Rozpatrują bardzo szczegółowo jego zalety, a starają się o ile możności nie widzieć rozmaitych przywar i wad obecnego następcy tronu. Tymczasem wady te występują u niego dosyć jaskrawie. Wystarczy powiedzieć, że arcyksiążę Fryderyk Wilhelm jest żywym obrazem swojego ojca, obecnego cesarza Niemiec. Jak ojciec i młody książę cierpi na megalomanię, lubi się, jak ojciec, ciągle fotografować w najrozmaitszych pozach, chce wogóle, by o nim tylko mówiono, śpiewano, czytano.



Smiertelny pojedynek: Poseł hr. Keglevicz potyka się z posłem Hentzem.

Nie wiemy jeszcze, czy następca tronu jest także równie zdolnym mówcą, jak jego ojciec, dotychczas bowiem nie miał, zdaje się, sposobności do okazania swych zdolności na tem polu. Zresztą, o tem się jeszcze przekonamy.

Książę Fryderyk Wilhelm urodził się w Potsdamie 6 maja 1882 r. Ukończył więc niedawno 23 lat. Ojciec jego, panujący obecnie Wilhelm II. ożenił się równie wcześnie, bo w 22 roku życia.

Ślub odbył się w asystencyi przedstawicieli wszystkich dworów i rządów. Z Rosyi miał być obecnym na ślubie jako reprezentant cara wielki książę Włodzimierz, w ostatniej jednak chwili rozmyślił się i wysłał do Berlina swego kuzyna, wielkiego księcia Michała. Przyczyną tego był fakt, że rewolucyoniści rosyjscy obiecali w. księciu Włodzimierzowi, iż zginie z ich ręki na ziemi niemieckiej. Sprawca rzezi petersburskiej w dniu 22 stycznia b. r. chce żyć i dalej władać. Dlatego zrzekł się przejażdżki do Berlina.

W znacznej części poważniejszej prasy niemieckiej objawiła się reakcya przeciw zbyt częstym uroczystym wystąpieniom dworu berlińskiego i.... wynikających stąd kosztów dla narodu. Uroczystości weselne niemieckiego następcy tronu dały temat „Allg. evang. luther Kirchenztg.“ w Lipsku do wypisania artykułu, w którym autor dowodzi, że młoda, przyszła monarchini Niemiec ze szpalt dziennikarskich, gdzie mowa o uroczystości i paradach, dowiedziała się, że „oczekiwano ją jako „coś“ na pokaz. Całemi szpaltami opisywano jej wyprawę od toalety kościelnej aż do bielizny. Plac paryski i ogród berliński robił wrażenie wielkiego warsztatu ciesielskiego. Okna powynajmowano po ośmdziesiąt marek od osoby. Pod przewodnictwem barona Cooka zjechały się do Berlina hordy całe Amerykanów i Anglików i brakło tylko Barnuma z jego reklamą. Dzienniki mogłyby mniej bawić się w tego rodzaju opisy hałaśliwe, a raczej zwracać więcej uwagi na dalszą stronę tego aktu. Być może, że jest to modą obecnie, iż w czynieniu jak największej hałasu, w huku bębnów, odgłosie trąb i w okrzyku mas, widzi się wiekopomne czasy historyczne.

Z tego jednak jedno złe wypływa. Proletaryat w tych paradach widzi rażący kontrast ze swymi stosunkami życiowymi, które mu owe „górne 10.000“ przed oczy przywodzą. Po uroczystości pozostaje mu niesmak w rodzaju „kociokwiku“ a po nim niezadowolenie klas ubogich ludzi jeszcze wzrasta“.

Tak mniej więcej pisze protestancki organ kościelny, a jest on echem bardzo wielkiej liczby Niemców, którym pruska buta, w rozmaitej formie się objawiająca, jak to bywa u spanoszonych parweniuszy, dość już dojadła. Wogóle, w ostatnich czasach w obozie protestanckim w Niemczech daje się uczuć pewien dyssonans; zanika bowiem dzięki Prusom dawna prostota obyczajów, a król pruski, który jest — jak utrzymuje — i teologiem znakomitym daje i pastorom dość często do zrozumienia, że on jest głową kościoła protestanckiego. Stąd niechęć duchowieństwa do berlińskiego dworu, które skorzystało z okazyi zaślubin, aby wystąpić przeciw przepychowi i festynom weselnym.

To odezwanie się duchowieństwa ewangielickiego było niemiłym dyssonansem dla władcy Niemiec w czasie ślubnych uroczystości swego syna. Można się go jednak było spodziewać już przedtem.

Komedye, jakie cesarz Wilhelm ciągle gra, czy to prawiąc kazania, czy podniosłe mowy przy odsłanianiu pomników jego przesławnych przodków, czy to przy poświęcaniu kościołów, znudziły się już Niemcom. Całą Europę te występy ukoronowanego cesarza bawią i śmieszą. Nic dziwnego, że opinia publiczna zwróciła się contra dworowi. Tak więc, mimo zapewnień prasy oficyalnej, w uroczystościach weselnych następcy tronu niemieckiego dał się też słyszeć w samą porę, niepożądany wprawdzie przez dwór, zgrzyt.

W numerze niniejszym podajemy fotografię młodej pary cesarskiej, następcy tronu księcia Fryderyka Wilhelma i jego małżonki księżnej Cecylii.



Zaślubiny niemieckiego następcy tronu: Wielki książę Michał, który zastępował cara przy uroczystości ślubnej.

Wystawa rolnicza w Tarnopolu.

Kraj nasz, wyłącznie prawie rolniczy i z rolnictwa ciągnący największe dochody, wskutek niskiego stanu kultury naszych włościan, a zacofanych uprzedzeń właścicieli większych realności, nie rozwija się na punkcie rolnictwa tak, jak inne kraje, w których rolnictwo kwitnie. Weźmy np. takie Niemcy. Chłop, posiadający tam 5 morgów gruntu jest zamożnym gospodarzem, żyjącym dostatnio; ale bo też Niemiec wykorzysta każdą piędź ziemi, nie pozostawi ani drzewka bezużytecznego. Dlaczego? Bo on uprawia ziemię racyonalnie, prowadzi gospodarkę racyonalną, bo on używa maszyn, sieje lepsze gatunki zboża i sadzi lepsze jarzyny i warzywa. Nic dziwnego, że ziemia, należycie uprawiona i dobrem zasiana ziarnem, wydaje plon obfity, U nas pod tym względem wszystko pozostało w tyle. Nasz chłop nie będzie siał nowych gatunków pszenicy, bo chłop jest pod bardzo wielu względami konserwatystą. „Ojce moi tak robili, a żyli, to i ja inaczej robić nie będę,“ odpowiadają zwykle na propozycye innej uprawy. Dlatego też każdą wystawę rolniczą w naszym kraju witać musimy ze szczerem zadowoleniem.

W ubiegłym tygodniu otwarto w Tarnopolu wystawę rolniczą. Urządza ją galicyjskie Towarzystwo gospodarskie, mające za zadanie podniesienie rolnictwa w naszym kraju. Na otwarcie wystawy zebrało się mnóstwo gości, złożonych po większej części z obywatelstwa okolicznego, a nie brak też było i włościan. Wystawę otworzył prezes Tadeusz Fedorowicz. Przemawiali poseł dr. Kozłowski, burmistrz dr Mandel i poseł Vivien. Wystawa zapełniona mnóstwem okazów, wystawionych przez 20 wystawców, przedstawia się nadzwyczaj korzystnie i stanowi doskonały przegląd naszego dorobku na polu rolnictwa.

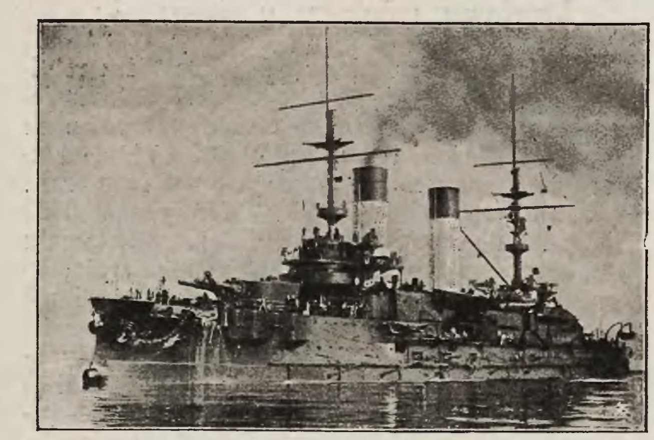
Firmy krajowe nie są jednak na wystawie reprezentowane tak, jakby się spodziewać należało. Między innemi wyróżnia się firma S. Podhoreckiego i Ski ze Lwowa, która wystawiła młyn do robierania jagieł, żarna karbowe, sieczkarnię i młocarnię ręczną. Wszystkie te maszyny, krajowego wyrobu, wykonane solidnie, dotrzymują w zupełności konkurencyi zagranicznej. Firma Józefa Goreckiego z Krakowa wystawiła nowy wynalazek gogospodarski: aparat „wzdętochron“ do ratowania wzdętego koniczyną bydła.

Podczas wystawy odbyły się też próby maszynami i narzędziami rolniczemi na specyalnie przez zarząd wynajętych polach pod okiem zawodowej komisyi znawców. Próby dały ogółem świetny rezultat.

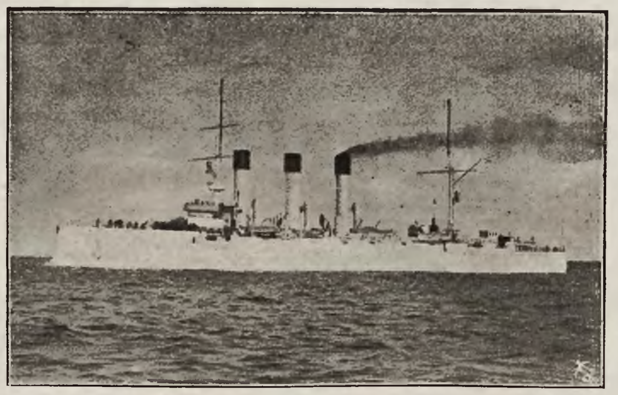
Na zamieszonej w dzisiejszym numerze ilustracyi podajemy grupę uczestników otwarcia wystawy w chwili przemówienia posła dra Kozłowskiego



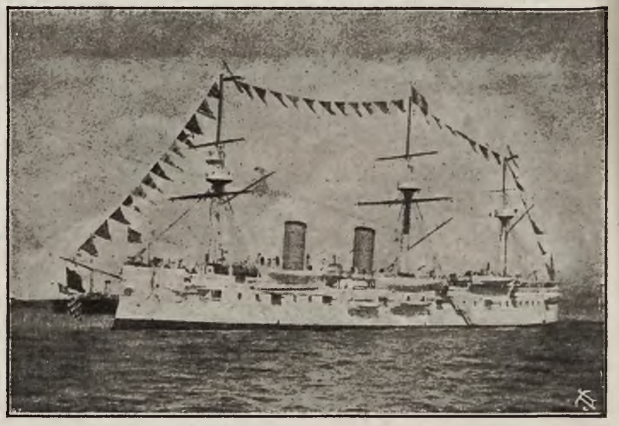
Wystawa rolnicza w Tarnopolu: Komitet wystawowy w czasie przemówienia posła Kozłowskiego.



Pancernik „Orzeł“ zabrany przez Japończyków.



Pancernik wybrzeżny admirał „Semiawin“ zabrany przez Jap.



Pancernik „Apraxin“, zabrany przez Japończyków.

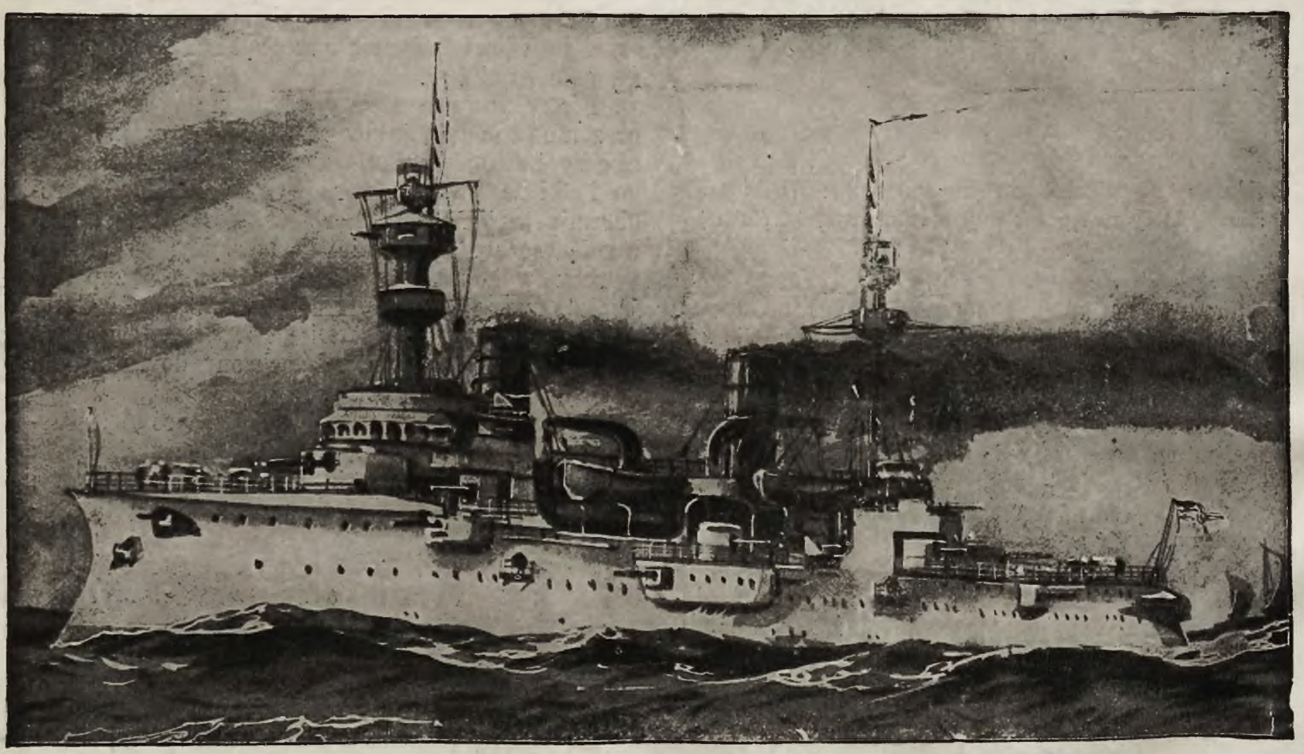
Z wojny rosyjsko-japońskiej: Pogrom eskadry Rożdiestwieńskiego.

Z wojny rosyjsko-japońskiej.

„Powrócę zwycięzcą albo umarłym“ — powiedział admirał Rożdiestwieński, kiedy po raz trzeci, na seryo już opuszczał Libawę, by udać się na Daleki Wschód. Tam, na wodach chińskich i japońskich, miał on pokazać światu, że Rosya zwyciężyć musi. Mimo szumnej zapowiedzi różne jednak były w Rosyi zdania o tej eskadrze Rożdiestwieńskiego. Jedni nie wierzyli, żeby kiedykolwiek stanęła na wodach chińskich, drudzy wątpili o zdolnościach Rożdiestwieńskiego, pozostał jednak rząd, który w nim pokładał rzeczywiście wielkie nadzieje. Klęska po klęsce na lądzie w Mandżuryi, upadek Portu Artura, za to wszystko miał Rożdiestwieński zapłacić Japańcom z odwetem. I rząd oczekiwał tego zwycięstwa, bo byłoby ono ostatnią deską ratunku dla niego. Tymczasem po bardzo długiem milczeniu, po wielkiem naprężeniu ostatnich 6 tygodni, nadeszła wieść, ale wieść hiobowa dla Rosyi. Przyszła w lakonicznym raporcie admirała Togi, że „flota rosyjska przestała istnieć“.

Wyprawa Rożdiestwieńskiego do Azyi, zakończona takim niesłychanym w dziejach pogromem, będzie stanowić osobną kartę w dziejach wojen morskich. Dla admirałów zbyt śmiałych będzie to przykład odstraszający; dla państw i rządów będzie to nauka, że kto chce wojować, musi już przed wybuchem wojny mieć flotę zaopatrzoną we wszystko i korpus oficerski, zaprawiony do zadań wojennych. Dla badacza przyszłości będzie to zajmujący obraz wielkiego przedsięwzięcia wojennego, rozpoczętego na ślepo, rozpoczętego po kozacku, prowadzonego do końca z rzadką determinacyą, a rozsypującego się w pył po spotkaniu prawdziwej przeszkody.

Rożdiestwieński okazał się w tej wojnie zwyczajnym rosyjskim stupajką. Kazano mu objąć dowództwo nad eskadrą, o której marynarze wszystkich krajów zgodnie utrzymywali, że żadną miarą zadaniu nie sprosta. Rożdiestwieński objął dowództwo. Kazano mu wybrać się w najdalszą drogę, jaką kiedykolwiek zbrojna eskadra odbyła— on podniósł kotwicę i popłynął. Kazano mu dotrzeć do Władywostoku — powiedział sobie, że płynąć będzie dopóki się da. I płynął, póki nie spotkał japońskich okrętów. Płynął, rozbijając wszystko po drodze, strzelając do łodzi neutralnych, zabierając węgiel z portów, nie troszcząc się wcale o przepisy prawa międzynarodowego. Ta zaciętość w tak dalekiej wyprawie zaimponowała światu. Zaczęto mimowoli spoglądać innem okiem na Rożdiestwieńskiego i na jego flotę. Ale nadzieje zawiodły. Okazało się, że Rożdiestwieński był tylko stupajką i niczem innym. Na ślepo puścił się w drogę, obsadzoną przez nieprzyjaciela, dał się w cieśninie koreańskiej zaatakować z boku i poniósł klęskę, z której ledwie sam uszedł z życiem, ratując się ucieczką na torpedowcu „Bujnym“, który jednak Japończycy zajęli i jego samego wzięli do niewoli. Cała flota rosyjska została zatopioną, albo zabraną przez Japończyków, tak, że zaledwie trzy lub cztery małe okręty zdołały uciec z bitwy i uniknąć pościgu. Japończycy zaś w tej niesłychanej bitwie stracili jeno kilka torpedowych łodzi. I nic więcej! Świadczy to dowodnie, jak wspaniale wykonał swój plan admirał Togo, jak wspaniale ten plan wypracował i zastosował się doń.



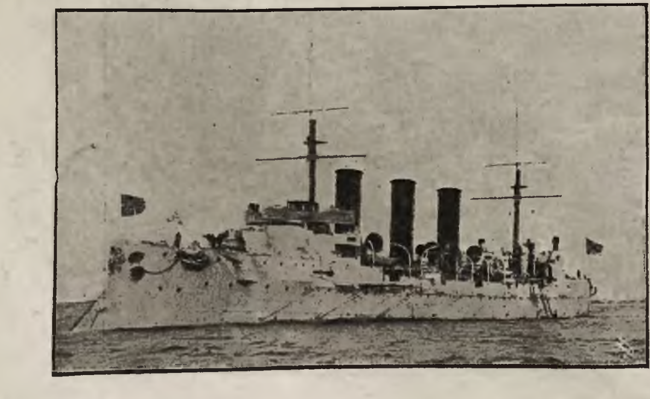
Z wojny ros.-jap. Pogrom floty Rożdiestwieńskiego: Pancernik „Kniaź Suworiñ“ flagowy okręt Rożdiestwieńskiego.

Skład floty bałtyckiej był w ciągu jej podróży przedstawiany bardzo rozmaicie w pismach europejskich, aczkolwiek zdawałoby się, że wobec zawijania Rożdiestwieńskiego do tylu portów, sprawdzenie liczby statków nie było trudnem. Zestawiając różne listy pism angielskich i francuskich, otrzyma się, jako względnie najprawdopodobniejszy, taki wykaz, który obejmuje już połączone siły wszystkich eskadr, składających się przy końcu podróży na flotę Rożdiestwieńskiego:

Pancerniki liniowe: „Borodino“, „Impierator Aleksander III“, „Orzeł“, „Kniaź Suworow“ (okręt flagowy). Typy mniej więcej zbliżone, po 13.300 tonn pojemności, 16.300 koni, 18 mil szybkości na godzinę, 66 dział. 787 załogi, 4 rury torpedowe. Zbudowane między r. 1901 a 1902, czyli typ nowy. Dalej: „Syssoj Wielikij“, 10.560 tonn, 8600 koni, 17 mil szybkości, 38 dział, 6 rur torpedowych, 586 załogi, zbudowany w 1894, a więc typ starszy. „Nawaryn“, 10.570 tonn, 9100 koni, 15 mil szybkości, 42 działa, 6 rur torpedowych, 621 załogi, spuszczony na wodę w r. 1891. „Osłablia“, 12.880 tonn, 15.500 koni, 18 mil szybkości, 63 działa, 5 rur torpedowych, 769 załogi, zbudowany w roku 1898. „Impierator Mikołaj I“, 9.800 tonn, 8.000 koni, 15 mil szybkości, 31 dział, 6 rur torpedowych, 621 ludzi załogi, spuszczony na wodę w r. 1889.

Krążowniki pancerne I kl.: „Dymitryj Donskoj“, 6200 tonn, 7000 koni, 16 mil szybkości, 34 działa 5 rur torpedowych, 495 ludzi załogi, spuszczony na wodę w r. 1883. „Admirał Nachimow“, 8660 tonn, 780 koni, 16 mil szybkości, 34 działa, 6 rur torpedowych, 572 załogi, zbudowany w r. 1885. „Swietlana“, 3800 tonn, 9500 koni, 20 mil szybkości, 30 dział, 2 rury torpedowe, 402 załogi, zbudowany w r. 1896. „Awrora“, 6800 tonn, 12.100 koni, 17 mil szybkości, 40 dział, 3 rury torpedowe, 570 załogi, spuszczony na wodę w roku 1900. „Włodzimierz Monomach“, 5750 tonn, 7100 koni, 17 mil szybkości, 21 dział, 3 rury torpedowe, spuszczony na morze w r. 1882.

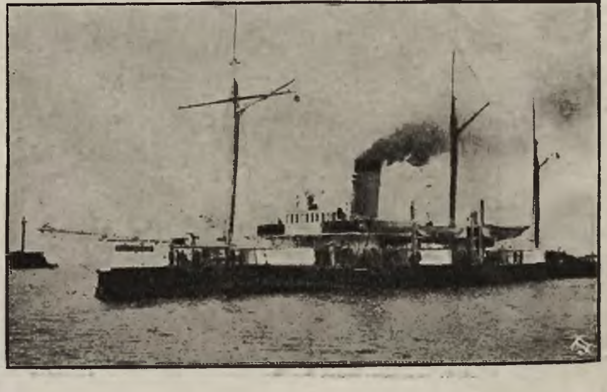
Krążowniki II kl.: „Ałmaz“, 3220 tonn, 7500 koni, 19 mil szybkości, 8 dział, 5 rur torpe-



Krążownik „Świetlana“, zatopiony przez Japończyków.

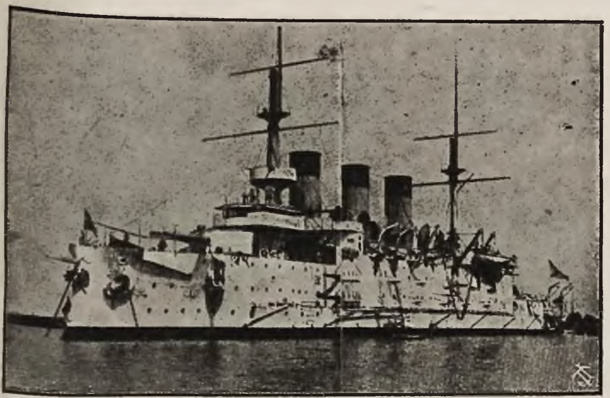


Pancernik „Mikołaj II“, zabrany przez Japończyków.



Krążownik „Żemczug“, zatopiony przez Japończyków.

Z wojny rosyjsko-japońskiej: Pogrom eskadry Rożdiestwieńskiego.



„Włodzimierz Monomach“, krążownik pancerny, zatopiony przez Japończyków.

dowych, 334 załogi, spuszczony na morze w r. 1903. „Oleg“, 6780 tonn, 19.500 koni, 24 mile szybkości, 34 dział, 6 rur torpedowych, 573 załogi, zbudowany w r. 1903. „Izumrud“, 3050 tonn, 19.000 koni, 24 mil szybkości, 14 dział, 5 rur torpedowych, spuszczony na morze w r. 1903.

Krążowniki nieopancerzone: „Don“, „Ural“, „Kubań“.

Krążowniki do obrony brzegów: „Jenerał Admirał Apraksyn“, Admirał Senjawin“ i „Admirał Uszakow“, każdy po 4.200 tonn, 5.700 koni, 15 mniej więcej mil szybkości, 26 do 30 dział, 4 rury torpedowe, spuszczone na wodę między r. 1893 a 1896, załogi po 406 ludzi, wreszcie mały krążownik „Terek“.

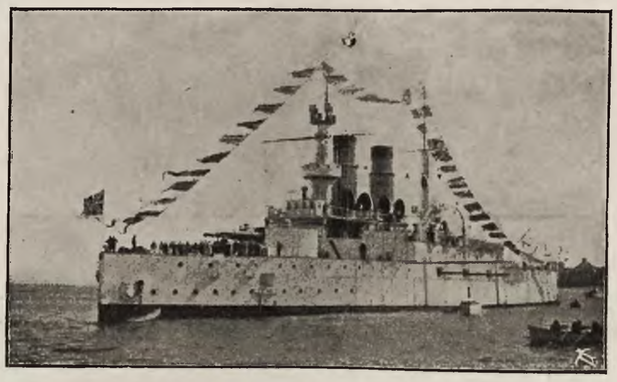
Statki transportowe: „Kamczatka“, „Irtysz“, „Anadyr“, „Argun“, „Ussuri“, „Sungari“, „Selenga“, „Mongigaj“, „Dniepr“, „Saratow“, „Niżnij Nowgorod“, „Rion“, „Okean“, okręt szpitalny „Oreł“ i „Kostroma“, wreszcie 19 kontrtorpedowców, w ich liczbie: „Brawyj“, „Bujnyj“, „Bodryj“, „Blestiaszczij“, „Biezupreczniij“, „Groźnyj“, „Gromkij“, „Rezwyj“ itd.

Co do sił eskadry japońskiej, można zapuszczać się co najwyżej w kombinacye, o tyle niepewne, iż stan floty swej Japończycy ukrywali jak najstaranniej. W każdym razie eskadra admirała Togo była liczebnie znacznie słabsza, zwłaszcza pod względem statków liniowych. Opancerzenie wszakże, uzbrojenie, stan maszyn i wyćwiczenie załogi wyrównywały do pewnego stopnia tę słabość cyfrową i, jak się okazało, doprowadziły, wraz męstwem żołnierzy, a świetną taktyką dowódców do rezultatu, którego w całym świecie rzec można, nikt się nie spodziewał.

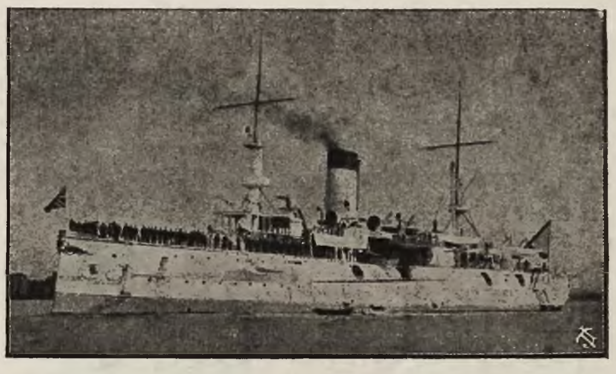
Jeden z oficerów marynarki austryackiej zamieścił w dzienniku „Die Zeit“ artykuł, napisany z wielką znajomością rzeczy, a omawiający klęskę Rożdiestwieńskiego w cieśninie Cuszima.

Aż do połowy dziewiętnastego wieku — pisze on — walka na morzu była stosunkowo łagodna. Gładkie działa niedaleko niosły, a pełne kule wybijały w drewnianych ścianach okrętu okrągłe, niezbyt wielkie otwory, które można było dosyć łatwo zatkać. Przeciwnicy usiłowali wtedy jak najprędzej zbliżyć się do siebie, a przybiwszy pokładem do pokładu, załoga okrętowa starała się wtargnąć na statek nieprzyjacielski. Przychodziło do ręcznej walki, przyczem obopólne straty rzadko były wielkiemi. I tak n. p. w roku 1779 w czasie amerykańskiej wojny o niezależność fregata „Osa“ walczyła trzy i pół godziny z brygiem „Frolic“. „Bryg“, który był stroną atakującą, stracił 5 ludzi, fregata zaś 15.

Poważniejszą stała się wojna, gdy sam wiatr przestał tworzyć siłę ruchu, a rolę jego objęła prawie w zupełności para. Można już było koncentrować siły wedle upodobania, szybko posuwać się naprzód i równie szybko cofać, wykonywać ruchy groźne dla nieprzyjaciela, albo szukać ratunku w ucieczce. Szybkość zaczęła odgrywać ogromnie ważną rolę. Później przyszła kolej na rozmaite ulepszenia w artyleryi, co znowu naprowadziło budowniczych okrętowych na myśl pokrywania statków okrętowych pancerzami. Bitwa pod Lissą miała już odmienne cechy. Dwie włoskie fregaty pancerne „Ancona“ i „Re d' Italia“ zostały



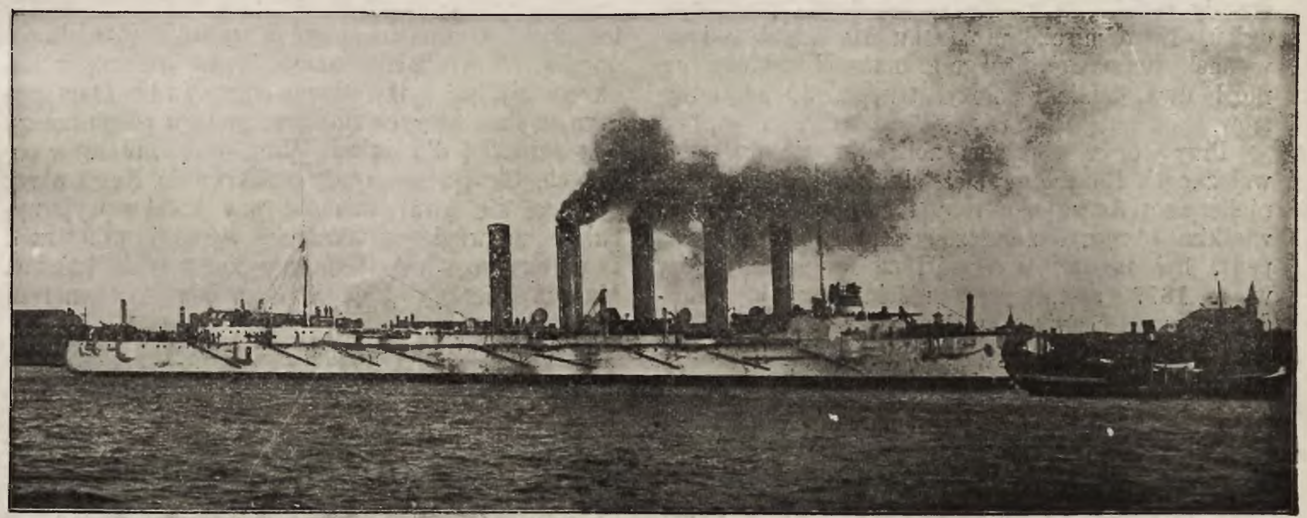
Krążownik pancerny „Dymitry Donskoj“, zatopiony przez Japończyków.



Krążownik pancerny „Admirał Nachimow“, zatopiony przez Japończyków.

i dowódcy poszczególnych okrętów nie tak łatwo mogą zgodnie z planem i zamiarami admirała brać udział w walce. — Nowożytny kolos pancerny składa się z części zupełnie od siebie oddzielonych, które porozumiewają się pomiędzy sobą i z kapitanem okrętu za pomocą telegrafu i telefonu. Komendant okrętu wojennego podczas bitwy stoi w t. zw. „roofie“, w opancerzonej budce, wysoko ponad pokładem głównym. Dokoła niego stoi sztab i podaje rozkazy komendaata dalej za pomocą telegrafu i telefonu. Jeden oficer nieustanie spogląda na okręt admiralski, ażeby pochodzące stamtąd sygnały natychmiast głosić kapitanowi okrętu.

Rozpoczyna się walka. — Pociski padają ze wszech stron. Większość ich z sykiem tonie w morzu, nie wyrządzając szkody, gdyż na odległość



„Admirał Uszakow“, zatopiony przez Japończyków.



Krążownik „Osłablia“, na którym zginął admirał Felkersam.

4 do 5 tysięcy metrów nawet największy okręt jest bardzo niepewnem celem. Statki drżą pod gwałtowną detonacyą własnych dział, które artylerzyści obsługują tylko w koszuli, rozpalone bowiem rury wytwarzają wprost nieznośne gorąco. Powoli zbliżają się nieprzyjacielskie floty coraz bardziej do siebie. Strzały są coraz celniejsze. Granaty padają na pokład, zasiewając go odłamkami żelaza. Ten deszcz żelazny wywołuje dokoła spustoszenie. Na dwóch pancernikach chińskich „Ting Juen“ i „Chen Juen“, które podczas wojny chińsko-japońskiej przy ujściu rzeki Jalu dostały



Pancernik „Borodino“, zatopiony przez Japończyków.

najechane i poszły na dno. Cała walka trwała zaledwie godzinę, a jednak zginęło przeszło 1000 ludzi. Sądzono wtedy, że taran, czy dziób odegra w przyszłych bitwach morskich rozstrzygającą rolę. Naówczas bardzo mało wiedziano jeszcze o najstraszliwszej broni, o torpedach, które dopiero podczas wojny domowej w Chili w r. 1891 zwróciły na siebie uwagę. Wtedy koło doków w Kolbar parowiec kongresyonistów „Blanco Eucalada“ skutkiem wybuchu torpedy zatonął w ciągu 7 minut.

Jakże od tego czasu wszystko się zmieniło. W nowożytnych, a właściwie dopiero w ostatnich wojnach morskich, kierowanie eskadrą stało się bardzo trudnem. Olbrzymia dalekonośność dział gwintowanych pozwala na dalekie rozciąganie się floty, co wprawdzie zmniejsza niebezpieczeństwo ze strony pocisków, ale zarazem dowodzącemu admirałowi utrudnia przegląd, a skutkiem tego również i wydawanie rozkazów. A jak admirałowi trudniejszem stało się kierowanie walką, podobnie



Pancernik „Aleksander III“, zatopiony przez Japończyków.

[Z wojny rosyjsko-japońskiej: Pogrom eskadry Rożdiestwieńskiego.



Admirał Felkersam, który zginął pod Cuszimą.



Admirał Togo, zwycięzca w bitwie pod Cuszimą.



Admirał Rożdiestwieński, głównodowodzący flotą rosyjską.

Z wojny rosyjsko-japońskiej: Klęska eskadry Rożdiestwieńskiego.

się w ogień artyleryi admirała japońskiego Ito, zostało zdruzgotane wszystko, czego nie pokrywał pancerz, grubości 50 centymetrów. Nawet działa zostały rozbite, a na statku co chwila powstawał ogień. Na admiralskim statku Ita „Matsuszima“ wybuch dwunastocalowego granatu chińskiego rozniósł dwa działa i położył trupem 39 artylerzystów.

Przy coraz większem zbliżaniu się do siebie walczących flot nieprzyjacielskich wzrasta zarazem niebezpieczeństwo ze strony torpedów. Pierwszym wielkim okrętem, zniszczonym przez wybuch torpedy, był turecki okręt „Hiozi Rahman“, który w r. 1877 został przy ujściu Dunaju napadnięty przez flotylę torpedowców rosyjskich. Podczas bitwy torpedowce stoją poza okrętami liniowemi swej floty i dopiero po należytem zbliżeniu się statków nieprzyjacielskich torpedowiec wysuwa się naprzód z nadzwyczajną szybkością, wyrzuca torped i cofa się natychmiast. Gdy torped jest celny, wówczas największy kolos w kilku minutach idzie na dno morskie.

Wnętrze okrętu podczas bitwy jest jakby piekłem dantejskiem. Znajdujący się tam ludzie nie wiedzą o niczem, co się dzieje na pokładzie i naokoło statku, pracują w ciągłem zdenerwowaniu, wiedząc, że w razie katastrofy niema dla nich żadnego ratunku. Ciężką zwłaszcza jest służba palaczy maszynowych. Obnażeni po pas, pracują po kolei około utrzymania ognisk pośród piekielnego gorąca. Na pokładzie szaleje bitwa, wewnątrz zaś okrętu słychać tylko głuche odgłosy i huczenia maszyn, wobec których maszyna pociągu pospiesznego jest zabawką dla dzieci. Wtem okręt zadrżał w posadach. Chwila strasznego oczekiwania. Nagle okręt pochyla się gwałtownie, z pod kotłów wylatują palące się węgle, wrząca para wypełnia przestrzeń i w straszny sposób gotuje żywe ciała ludzkie. Maszyny jęczą, okręt idzie w głąb i z wnętrza jego nikt nie może ratować się ucieczką.

W bitwie pod wyspą Cuszimą flota rosyjska znajdowała się w ognisku, które naokoło było zamknięte przez Japończyków. Droga przez cieśninę Koreańską, a mianowicie przez jej wschodnie ramię, była niefortunnie wybrana. Rożdiestwieński mógł był się wreszcie odważyć na nią nocną porą i przy zgaszonych światłach. Właśnie ta ciasna i pod względem nawigacyjnym niebezpieczna droga nie pozwalała Rożdiestwieńskiemu na wyzyskanie swej liczebnej i artylerzyskiej przewagi, musiał bowiem posuwać się w dwóch kolumnach. Dostał się w pułapkę, którą Japończycy przez kilka tygodni jaknajlepiej skonstruowali. Rożdiestwieński bardzo złą przysługę oddał swojej ojczyźnie, wybierając tę drogę. Jeżeli bowiem przygotowany był do przyjęcia bitwy, to wówczas powinien był przez pozorny atak na Nagasaki lub inny port japoński przeciwnika wywabić na otwarte morze, gdzie mógł zużytkować swoją przewagę liczebną, jeżeli zaś był ogromną podróżą osłabiony, to w takim razie nie powinien był puszczać się w cieśninę Koreańską, lecz raczej przyjąć bitwę w cieśninie La Pérouse. Tutaj byłby admirał Togo znacznie dalej od swej podstawy operacyjnej, odległość zaś od Władywostoku nie byłaby znacznie większą, niż pomiędzy tym portem rosyjskim a Cuszimą.

Pozostaje do rozwiązania pytanie, w jaki sposób Japończycy zadali taką klęskę Rosyanom? Dotąd w obecnej wojnie okręty padały zazwyczaj ofiarą min, które często wybuchały przypadkowo, zaś usługi dział z powodu wielkich odległości nie występowały bardzo na jaw. Ponieważ Togo miał rzeczywiście zamiar stoczyć bitwę w cieśninie Cuszimy (Krusensterna) i skutkiem tego musiał mieć wolne dla swej floty ruchy, więc prawdopodobnie min w morzu nie zapuścił.

Wobec tego straty olbrzymie Rosyan przypisać należy działom, torpedom, a ewentualnie najechaniom. Wedle dotychczasowych doświadczeń, okręty wojenne nie idą na dno morza pod działaniem pocisków działowych, przypuścić więc musimy, że straty Rosyan pochodzą od torpedów, a wyjątkowo może od rozbicia przez najechanie ze strony okrętów nieprzyjacielskich. Niektóre statki rosyjskie mogły również przypadkowo się rozbić, co nie dziwiłoby w owej cieśninie. Fakt, że kolumny floty rosyjskiej zostały wzięte w ogień z obu skrzydeł i że mogły je podejść torpedowce, przyczem z powodu nadbrzeżnych fortów japońskich i drobnych wysepek nie mogli Rosyanie rzucić się na bok, świadczy, jak ślepo Rożdiestwieński parł naprzód swą flotę.

W bitwie pod Cuszimą admirał Togo dowodził pierwszą eskadrą, która składała się z pierwszej dywizyi pod wodzą kontradmirała Nasziby (4 okręty wojenne I klasy, 2 krążowniki I klasy) i z 3 dywizyi pod komendą wiceadmirała Dewy (2 krążowniki I klasy i 3 krążowniki II klasy). Druga eskadra pod Kamimurą składała się z dwóch dywizyi pod wiceadmirałem Miszu (4 krążowniki I klasy) i z 4 dywizyi pod wiceadmirałem Uriu (2 krążowniki II klasy i 2 krążowniki II klasy). Trzecia eskadra pod Kataoką obejmowała 5 dywizyę pod wodzą kontradmirała Jamady (1 okręt wojenny II klasy, 3 krążowniki II klasy) i 6 dywizyę pod kontradmirałem Togo (4 krążowniki III klasy), tudzież 7 dywizyę pod wodzą kontradmi-



Z wojny ros.-jap.: Kozak, wykonujący karę chłosty na Chińczyku, szpiegu japońskim.



Z wojny ros.-jap.: Korespondenci wojenni na placu bitwy w Mandżuryi.

rała Hosoja (1 okręt wojenny II klasy, 2 okręty wybrzeżne, 9 łodzi działowych). Flotyla kontrtorpedowców miała 19 statków, torpedowców było 85. Rosyanie mieli 11 pancerników, 9 krążowników, 12 do 15 kontrtorpedowców i około 20 torpedowców.

Jaką klęskę poniosła flota rosyjska, ocenić można, gdy porównamy straty, poniesione w innych bttwach morskich przez walczące strony. I tak w bitwie pod Trafalgarem 31 października 1805 r. Anglicy zatopili 5 okrętów francusko-hiszpańskich, a zabrali 18. Pod Abakirem 1 sierpnia 1798 zginęło 11 okrętów francuskich a tylko 2 zdołały umknąć. Pod Santjago de Cuba d. 3 lipca 1898 r. zatonęły 4 hiszpańskie okręty wojenne i 2 kontrtorpedowce. Pod Sinope admirał Nachimow zniszczył zupełnie 11 okrętów tureckich w roku 1853. Podczas wojny hiszpańsko-amerykańskiej w 1898, admirał amerykański Dewey zatopił pod Cavito 5 krążowników i 5 łodzi działowych hiszpańskich z załogą 618 ludzi. Jak widzimy, bitwa pod Cuszimą należy do największych bitew morskich, a jeżeli uwzględnimy materyał okrętowy najnowszych czasów, to była ona stanowczo największą z dotychczasowych walk morskich.

Flota rosyjska nie istnieje obecnie. Rosya była wprawdzie na morzu mocarstwem drugorzędnem, podobnie jak Niemcy, od soboty atoli straciła na morzu wszelkie znaczenie i co najmniej przez 10 lat będzie musiała czynić wysiłki, ażeby stworzyć jaką taką flotę.

Admirał Rożdiestwieński dostał się do niewoli. Urodzony w r. 1848 wstąpił już w r. 1865 do służby w marynarce i pozyskał sobie popularność podczas wojny z Turcyą w r. 1877 zimną krwią i odwagą. Jako attaché ambasady rosyjskiej w Londynie pracował sumiennie, studyując urządzenia marynarki angielskiej. Podczas wojny chińsko-japońskiej stał Rożdiestwieński na czele eskadry rosyjskiej i został w uznaniu zasług mianowany kontradmirałem. Po tragicznej śmierci Makarowa został dowódcą floty bałtyckiej, którą Japończycy zniszczyli. Do niewoli dostał się również admirał Nebogatow z 3000 ludzi. Admirał Felkersam zginął na pokładzie „Osłablii“.

Togo liczy 57 lat życia. Ukończywszy szkołę marynarską w Kogoszimie, służył przez pewien czas w armii lądowej, poczem powrócił do marynarki. W Anglii kształcił się przez 6 lat. — W r. 1900 podczas zamieszek w Chinach stał na czele eskadry, brał następnie udział w wojnie przeciwko Chinom, a w obecnej wojnie po raz drugi zwyciężył Rosyan.

Osobistość admirała Togi stała się dzisiaj, po tak niesłychanym pogromie Rożdiestwieńskiego, nadzwyczaj popularną. Jednem słowem jest to bohater, z admirałów najzdolniejszy dzisiaj, a może i najsłynniejszy w historyi.

Jeden z korespondentów wojennych podaje w jednym z francuskich dzienników ciekawe szczegóły, mające dość dużo znaczenia z poprzedniej bitwy morskiej, mianowicie tej, która 10 sierpnia z. r. rozstrzygnęła losy floty portarturskiej, jako siły czynnej na wodach chińskich, która dowiodła sprytnej pomysłowości admirała Togo.

Rzecz dzieje się przed Portem Artura, około południa. Rosyjska eskadra w pełnym komplecie, polegająca na 6 okrętach pancernych, 4 krążownikach, 15 kontrtorpedowcach i torpedowcach, znajduje się 30 mil morskich na południe portu, śpieszy dalej z wielką chyżością, bo planem dowodzącego admirała Witöfta jest unikając bitwy, nawet wszelkiego starcia, uciec przed flotą japońską i dotrzeć do Władywostoku.

Togo, który przybył z największym pośpiechem z okolic wysp Elliota – gdzie miał stałą pozycyę obserwacyjną — skoro tylko się dowiedział o wyjściu Rosyan, jest od nich oddalony o 8—10 kl. na wschód. Ma pod wodzą tylko 4 pancerniki, 2 krążowniki i około 20 torpedowców. Ale spostrzega na widnokręgu, poza eskadrą rosyjską, resztę swoich okrętów, które, uprzedzone bezdrutowym telegrafem, opuściły blokadę Portu, ażeby się połączyć z naczelnym wodzem.

Z wysokiego mostku na tyle „Cezarewicza“, płynącego na czele rosyjskiej eskadry, Witöft widzi bardzo wyraźnie obie japońskie eskadry, ziejące gęstym, czarnym dymem i pędzące całą hyżością na nieprzyjaciela. Są jednakże tak jeszcze daleko, że zapewne dopędzić go nie zdołają. Rosyanie są zagrożeni z dwóch stron, północnej i południowo-wschodniej — ale przed nimi morze jest wolne, chyżość ich zdaje się być większą, już prawie nie wątpią, że się przemkną na ocean i do Władywostoku. Pełen ufności, Witöft daje sygna-



Z wojny ros: jap.: Idylla wojenna: Japońscy oficerowie zabawiają się pogawędką w namiocie, ustawionym na drzewie.

łowe rozkazy, ażeby okręty wytężyły jeszcze chyżość, skupiły się i nie pozwoliły Japończykom atakować statków krańcowych.

Nagle z pokładu „Mikasy“, admiralskiego pancernika japońskiego, wylatuje do szczytu masztów jakiś lakoniczny sygnał.

Równocześnie od eskadry Toga odłącza się cała flotyla torpedowców i kontrtorpedowców. Maleńkie statki, zakryte chmurami dymu, buchające długimi językami płomieni, rzucają się zuchwale naprzód, bez żadnej formacyi ani porządku. Nie atakują Rosyan wcale, pędzą wprost na nich, usiłując dopędzić ich i z frontu zagrodzić im drogę. W mniej niż pół godziny przecięły w poprzek drogę Witöfta. Wtedy, formując się śmiało ogromnem półkolem, stawają i tworzą nieprzerwaną baryerę. Cóż teraz poczną? Przecież atakować okrętów rosyjskich nie będą torpedami! Od dawna bowiem zostało uznanem, że torpedowe ataki za dnia są całkiem daremne — chyba na okręty już mocno w poprzedniej bitwie nadwerężone. A tu wszystkie okręty rosyjskie są całe i zaopatrzone w lekką artyleryę.

Lecz cóż się dzieje? Oto z pokładu każdego japońskiego torpedowca marynarze spuszczają w morze jakieś ogromne, ciemne przedmioty... Więc oficerowie rosyjscy na wszystkich pomostach wołają jedni do drugich: „Miny! podwodne miny! spuszczają miny!“ Odległość rzeczywiście nie pozwala rozpoznać rzuconych do wody przedmiotów. Ale, że to są miny, nikt oczywiście nie wątpi. Następnie torpedowce japońskie odchodzą na 600 do 800 metrów ku otwartemu morzu, potem znów wracają i zatrzymują się — mając cylindry torpedowe zwrócone groźnie na nieprzyjaciela, gotowe widocznie rzucić je, skoro tylko okręty wejdą na pole, zasiane zdradliwemi machinami — i, korzystając z zamieszania dobić poranione statki.

Tyle nie było trzeba, by Witöfta zniewolić do szybkiej decyzyi. Przypomniał sobie los „Petropawłowska“... Nie myśląc o tem, żeby na front eskadry wysunąć parę opancerzonych krążowników, które by, poświęcając się, sprowadziły wybuch min i w ten sposób przerwać baryerę — admirał rosyjski zmienia kierunek żeglugi. I na tem koniec. Rosyanie muszą się spotkać z Togiem, muszą przyjąć bitwę — i jaką bitwę! A co najsmutniejsze w tem wszystkiem, to, że japońskie torpedowce nie spuściły ani jednej miny!

Ich oficerowie wyznają dziś otwarcie, że do morza powrzucali kosze, napełnione starem żelaztwem, staremi baryłkami od oliwy i najrozmaitszemi rzeczami, jakie były na pokładzie — miny zaś żadnej. Zresztą, wiadomo, że ciężkie te i niedogodne machiny są zwykle wpuszczane pod wodę przez specyalne okręty, najczęściej przez krążownik I. lub II. klasy.

Strach ma wielkie oczy...

Ostatecznie rezultat klęski pod Cuszimą przedstawia się następująco:

Zatopione zostały okręty wojenne:

„Kniaź Suworow“, „Imperator Aleksander III“, „Borodino“, „Osłablja“, „Sysoj Wielikij“ „Nawarin“, „Dmitryj Donskoj“, „Admirał Nachimow“, „Włodzimierz Monomach“, „Swietlana“, „Izumrud“, „Admirał Uszakow“, razem 12 okrętów wojennych o łącznej pojemności 107.600 tonn, a załodze 6924 ludzi.

Zabrane przez Japończyków:

„Oreł“, „Mikołaj I.“, „Admirał Apraxin“, „Admirał Semawin“, razem 4 okręty wojenne łącznej pojemności 32.700 tonn, o załodze 2194 ludzi.

Do Władywostoku schronił się krążownik „Ałmaz“.

Uszedł z pogromu admirał Enquist z czterema okrętami.

Ilustracye nasze przedstawiają obok bohaterów ostatniej bitwy morskiej szereg najważniejszych okrętów rosyjskich, które zatonęły lub zostały przez Japończyków zabrane.

Działania lądowe obu nieprzyjacielskich armii, znajdujących się na linii Charbin – Kiryn odsłonięte są do dziś jeszcze tajemnicą. Prawdopodobnie jednak w najbliższych dniach przyjdzie tam znowu do strasznej bitwy, która na dalsze prowadzenie wojny będzie miała bardzo poważny wpływ. Obecnie panuje tam jeszcze cisza przed burzą.

Podajemy w dzisiejszym numerze fotografie z obecnego życia Japończyków w Mandżuryi. Jedna z nich przedstawia korespondentów wojennych w kwaterze Kurokiego, druga, pogodną z scenę z życia obozowego Japończyków. Na trzeciej widzimy karę chłosty wykonywaną przez kozaka na złapanym na szpiegostwie Chińczyku. Rycina te tłumaczą się same przez się, nie będziemy więc o nich pisali.

Ze świata

Generał francuski o pojedynku. — Pojedynek hr. Keglevicha. — Sensacya wiedeńska. — Jego cygańska mość. — Jak się schodzi z wyżyn. — Senzacya berlińska. — „Dziewice honorowe“. — Kłopoty p. Reicka. — Sejmik dziewic.

Pewien generał francuski, napisawszy broszurę przeciwko pojedynkom, umieścił na ostatniej stronicy następującą uwagę: „Każdemu, ktoby z powodu tej broszury uważał mnie za tchórza, służę pojedynkiem na każdą broń“. *Quod erat demonstrandum!* Podobnie postępuje dzisiaj mnóstwo ludzi rozsądnych, którzy dla błahej przyczyny ważą swoje życie li tylko dlatego, ażeby, broń Boże, in nierozsądnych nie uchodzili za tchórzów. Podobny wypadek zdarzył się w Budapeszcie i wywołał tam wielkie oburzenie przeciwko sekundantom obu stron.

Oto przebieg sprawy. Niedawno podczas obrad w Sejmie węgierskim, gdy przemawiał poseł Naway, posłowie opozycyjni, a między nimi Hentz, przerywali mowę jego ciągłemi okrzykami. Hr. Keglevich, ze stronnictwa rządowego, krzyknął: „Osioł!“— na co Hentz odpowiedział okrzykiem: „Subwencyonowane bydle!“ Na tem „przemówieniu się“ mogli byli obaj prawodawcy poprzestać, ale pan Hentz, liczący dopiero 28 lat życia, osądził inaczej i wyzwał hr. Keglevicha na pojedynek. Hr. Keglevich, mający 65 lat życia, pojedynek przyjął, polecił jednakże swoim sekundantom, ażeby obostrzyli jego warunki.

Sekundanci hr. Keglevicha, poseł Aureli Münnich i hr. Jerzy Karolyi w porozumieniu z sekundantami strony przeciwnej obostrzyli rzeczywiście warunki pojedynku, pozwoliwszy pomiędzy innemi stronom walczącym używania podczas rozprawy na pałasze równie cięcia jak i kłucia. Do pojedynków na pałasze wprowadzili wolność kłucia Włosi, co odpowiada ich tradycyi narodowej. Oczywiście tego rodzaju walka jest groźną dla życia, a już wprost wygląda na morderstwo, gdy starzec 65-letni ma się zmierzyć z 28 letnim młodzieńcem. I gdyby chodziło rzeczywiście o ciężką obrazę honoru, to jeszcze możnaby taki pojedynek pojąć, ale w tym wypadku dwaj ludzie inteligentni w uniesieniu rzucili sobie nawzajem obelżywe wyrazy, których z pewnością natychmiast żałowali jako dobrze wychowane osoby. I stało się to, co mogli przewidzieć sekundanci obu stron: hr. Keglevich padł, przeszyty na wylot pałaszem Hentza. Prasa w Budapeszcie i Wiedniu oburzona jest na sekundantów obu stron, zarzucając im słusznie lekkomyślność. A byli to przecież ludzie poważni: poseł Münnich i hr. Karolyi ze strony Keglevicha, tudzież poseł Szabo i Buzath. Pozorne pojedynki do „pierwszej krwi“, kończące się szampanem, są śmieszne, pojedynek Keglevicha z Hentzem był prawie morderstwem.

Miał Budapeszt senzacyę tragiczną, ma obecnie Wiedeń senzacyę melodramatyczną. W znanem tamtejszem „etablisement“ pod nazwą „Wenecya w Wiedniu“ popisuje się obecnie ze swoją kapelą cygan Rigo Jancsi, eksmałżonek księżnej Chimay. Pisma wiedeńskie, zajmują się ogromnie jego osobą, a reporterzy tłumnie odwiedzają jego cygańską mość, łowiąc go na „interwiewy“. Dzienniki wiedeńskie przesadnie wprawdzie zajmują się Rigiem Jancsi, ale swoją drogą i on i ks. Chimay są parą wielce charakterystyczną w naszych czasach. Rigo Jancsi nie jest biedakiem, gdyż ma w hotelu „Continental“ bardzo piękne pomieszkanie, a przedsiębiorstwo „Wenedig in Wien“ płaci mu 15,000 koron miesięcznie. Jednemu z reporterów opowiadał Rigo, w jaki sposób stracił łaski u romantycznej ks. Chimay, o której ciągle rozmawia. „Nieszczęście — opowiada Rigo — spotkało mnie w Neapolu. Przybyliśmy z Port Said i mieliśmy zamiar zwiedzić Wezuwiusz. Przybywszy na górę, księżna oddała na stacyi swój pakunek jakiemuś robotnikowi włoskiemu. Spostrzegłem natychmiast, że zajęła się nadzwyczajnie tym człowiekiem. Powróciwszy do Neapolu, oświadczyła księżna, że zapomniała u owego robotnika poduszeczki do podróży. Nazajutrz ku mojemu zdziwieniu zjawia się u nas w hotelu ów Włoch. Przyniósł poduszeczkę, a księżna zaprosiła go na obiad. Co miałem począć? Po obiedzie wybrałem się do miasta, skąd miałem powrócić o umówionej godzinie. Powróciłem wcześniej i zastałem ks. Chimay w objęciach Włocha“.

Biedny Rigo opowiada w dalszym ciągu, że ks. Chimay ofiarowała mu dalsze pożycie razem z Włochem, ale on, Rigo, odrzucił tę ofertę i opuścił księżnę. Gdy reporter wyraził pośrednio swoje powątpiewanie, Rigo wydobył listy i telegramy, za pomocą których księżna wzywała go do powrotu. Mniejsza o to, obojętną jest rzeczą jak się szanowny Rigo zachowywał po zdradzie księżnej. Charakterystyczną jest afera księżnej w związku z innemi tego rodzaju aferami, które zdarzyły się w ostatnich latach. Ludziom na wyżynach społecznych staje się duszno, schodzą więc na dół, nie bacząc, ażali nie zejdą, a raczej nie spadną za nisko. *Signum temporis.*

A teraz kolej na senzacyę berlińską, a mianowicie na zaślubiny niemieckiego i pruskiego następcy tronu z ks. Meklemburską Alicyą. Ślub odbył się we wtorek, a uroczysty wjazd ks. Alicyi do stolicy pruskiej w sobotę. Podczas wjazdu cały urzędowy, wojskowy i prywatny Berlin tworzył szpaler dla wjeżdżających gości. Na placu paryskim 100 „dziewic honorowych“ stało w białych strojach, skrojonych wedle przepisu z przepisanej materyi. Otóż owemi dziewicami honorowemi bawił się cały Berlin przez kilka tygodni.

Bawił się przedewszystkiem kłopotami drugiego burmistrza Reickego, który w wolnych od urzędowego zajęcia chwilach pisze komedye, a któremu pierwszy burmistrz powierzył z całą ufnością i... złośliwością wybór owych 100 „dziewic honorowych“. Był w strasznych opałach! Gdyby miał był wybrać 10.000 dziewic, jeszcze byłoby się zgłosiło nieskończenie więcej kandydatek, a cóż dopiero przy ograniczonej liczbie 100. Wszystkie protekcye zostały zmobilizowane i puszczone do ataku na biednego Reickego. Rozmaite „komercyenratowne“ zgłaszały się tysiącami — niestety nadaremno. Reicke narobił sobie mnóstwo wrogów śmiertelnych w pannienkach, mamach, ciotkach, a nawet ojcach. Co to znaczy 100 dziewic honorowych! Kropla w morzu dla berlińskiego bizantynizmu.

Pisma humorystyczne miały żniwo, ośmieszając tę sprawę. Jedno z nich podało następującą rozmowę pomiędzy przyjaciółkami:

Panna X: Nieszczęście! Mój narzeczony chce, ażeby ślub nasz odbył się we czwartek!

Panna Y.: I to ma być nieszczęściem?

Panna X.: Nie mogę już w sobotę być dziewicą honorową podczas wjazdu następczyni tronu.

„Berliner Tageblatt“ umieścił o dziewicach honorowych humorystyczny felieton, opisujący sejm dziewic i obrady jego nad sprawami, odnoszącemi się do tego zaszczytnego urzędu. Pojawiały się rozmaite wnioski, aż wreszcie wystąpiła panna Betty i zapytała:

— Chciałabym się dowiedzieć, czy prawdą jest, że jako dziewice honorowe w strojach Małgosi łatwiej złapiemy sobie mężów?

Ogólna wesołość. Przewodnicząca zamyka posiedzenie, oświadczając, że porządek dzienny został wyczerpany. Przy tej sposobności przewodnicząca z całą skromnością dodała uwagę:

— Jestem przekonana, że jesteśmy najpiękniejszemi dziewicami całego Berlina.

— Całego świata! — woła Betty rozanielona.

— Brawo Betty! — odpowiada przewodnicząca. — Chciałabym dostać w ręce mężczyznę, któryby ośmielił się mieć inne zdanie!

Rozeszły się, a każda w duchu mówiła, że jest piękną, ale że reszta w liczbie 99 nie kwalifikuje się do szczytnej misyi honorowych dziewic. O Bizancyum!... *k. e.*

Kącik humorystyczny.

Złe zastosowanie.

Student A.: Mówię ci, że przysłowie: „Milczenie jest złotem“ — to największy idyotyzm.

Student B.: Jakto?

Student A.: Zastosowałem je podczas egzaminu i przepadłem.

Nad Wisłą.

— Bywaj zdrów, Antek! zobaczymy się jutro!

— Ano tak. A o której godzinie?

— Zaraz po obiedzie.

— E, nie gadałbyś głupstw! Tobyśmy się chyba nigdy nie spotkali!



Kronika Lwowska.

(Szach perski we Lwowie. — Podróż do miasta. — Kobiety i ich węch. — U nas nie wolno. — Wybory ściślejsze. — Abstynenci we Lwowie. — Dziennikarze. — Taksa za gumy. Gaszenie pragnienia. — Do parku. — Staw, sadzawka, czy bajura. W tramwaju. — Głodomory we Lwowie. — Elegancka brunetka w fioletowym kapeluszu. — W teatrze. — Loża prezydenta. — Arnold uwolniony. — W Colosseum. Nasza kultura. — Szczęśliwej podróży.

Otrzymałem prywatną depeszę, że szach perski przejeżdża przez Lwów i wyjechałem na dworzec. Tam przedstawiłem się szachowi i zaproponowałem, czyby nie zechciał potrudzić się bodaj *incognito* do naszego miasta, ażeby zwiedzić jego osobliwości, przyczem rolę *cicerone'a* wziąłem na siebie z całą gotowością galicyjskiego dżentelmena. Muzafer Edin przyjął propozycyę. W stroju „cywilnym“, europejskim, bez żadnych odznak, bez dworzan wsiadł ze mną szach do eleganckiego „gummiradlera“ i posunęliśmy we dwójkę do miasta. Po drodze syn słońca mówił niewiele. Rozglądał się tylko ciekawie na wszystkie strony, a najwięcej interesowały go kobiety, za któremi długo patrzał, odwracając się lub nawet wstając z siedzenia.

— Macie tu niebrzydkie kobiety — rzekł do mnie ulubieniec księżyca — a co najciekawsze, że prawie wszystkie do siebie podobne...

— No tak — odrzekłem — może z oddalenia, dla obcego.

— Ale czego one tak wszystkie na mnie patrzą, chyba podobałem się im, czy co..

— Nasze kobiety są chytre i domyślne, one domyślają się, jaką masz posadę, wielki kuzynie gwiazd.

— Aha! Więc one tylko za tymi oczkują, to ciekawe... Podobno wszystkie kobiety na świecie są równe... A ot ta... zawołaj pan ją tu do powozu.

— Nie można, szlachetny potomku słońca, to nie tak, jak u was w Teheranie...

— Jakto? Przecież mi się podoba...

— To wielki dla niej zaszczyt, ale tak u nas nie wolno...

— Stań — zawołał Muzafer na fiakra.

„Guma“ zatrzymała się, a szach ciągnął dalej:

— Przywołaj pan tę niewiastę na chwilkę, nie rozumiem, co jej to szkodzić może... wołaj pan, albo strzelam...

— Za wiele łaski, jutrzenko wschodu, ale ja nie mam odwagi, zresztą, co jej powiedzieć miałeś?

— Miałem jej powiedzieć, że taka gruba, pękata kobieta nie powinna się ubierać w tak krótką sukienkę, bo to śmieszne; zresztą podoba mi się.

— Dobrze, że zresztą...

— Jedź dalej — krzyknął Muzafer, a gdy gumowiec ruszył, spytał znowu:

— A co to za afisze olbrzymie?

— To są nasze hece — Colosseum z programem bez mężczyzn i ściślejsze wybory do rady miejskiej także bez mężczyzn...

— Co to znaczy „ściślejsze“?

— Przy głównych wyborach tzw. hyeny wyborcze nie obłowiły się jeszcze dostatecznie, więc urządza się wybory ś c i ś l e j s z e...

— I na tem koniec?

— Nie, potem mieć będziemy najściślejsze, bo jeszcze nie mamy wszystkich radnych.

— A potem?

— A potem unieważnimy wybory i przeprowadzimy nowe — jest to u nas pewien stały, nieopodatkowany jeszcze, i jako taki jedyny przemysł niektórych osobników.

— To już u nas inaczej — zauważył szach — a co to znowu za zjazd abstynentów?...

— Tak, odbył się w tym tygodniu w Krakowie, a jego celem jest propaganda wstrzemięźliwości od trunków...

— To wy przestajecie pić?

— I owszem — zaczynamy! Od kilku lat propaguje się u nas tę ideę, ale nigdy chyba ludzie tyle nie pili, co teraz.

— A dużo jest u was tych abstynentów?

— Nawet nie jeden procent, ale idea powoli przyjmuje się...

— Dlatego macie w każdym domu szynk? O, tu... tu... tu... tu...

— To dla odstraszenia...

— A ten tam pijany, co za jeden?

— To dziennikarz tutejszy...

— Cha... cha... cha... zawołaj go pan, ja bardzo lubię dziennikarzy... panie, panie dziennikarzu, chodź pan tu do nas... panie dziennikarzu!

— Przestań, szlachetny bracie księżyca, nie nazywaj go dziennikarzem, bo to u nas obraza...

— Co? obraza?

— Tak jest — niestety, u nas już tak... Są tacy ludzie, wabiący się dziennikarzami, którzy tylko wstyd przynoszą temu stanowi. Dlatego inni nie przyznają się chętnie do tego zawodu...

— Hm...

Byliśmy właśnie w mieście. Ulica Karola Ludwika przepełniona. Muzafer Edin płaci fiakrowi.

— Co się należy?

— Co łaska... — odpowiada dorożkarz.

Szach daje mu koronę.

— To będzie za mało, gumowy kosztuje przynajmniej trzy korony...

— Co?? — Szach złapał się za czuprynę. Ja ci przecież zostawiam konie!...

— No — zaśmiał się dorożkarz — ale u nas tak się płaci...

— To u was muszą być bardzo bogaci ludzie.

— Zwłaszcza ci „gumowi“ — wtrąciłem, dodając dwie korony, bo szach jakoś nie zdradzał wielkiej chęci wyrównania rachunku.

Dzień był gorący. Weszliśmy do kawiarni na lody. Muzafer w przeciągu kwadransa połknął pięć porcyj dużych i dziwił się bardzo, że u nas gaszenie pragnienia tyle kosztuje. Na swoje szczęście nie pił wina w kawiarni...

Zaproponowałem mu przejażdżkę do parku stryjskiego, gdzie odbywał się festyn

— Dobrze — odparł Edin — ale już nie na gumie...

— Pojedziemy tramwajem.

Syn słońca wlazł do tramwaju i narzekał na ojca.

— W waszych tramwajach można się zgotować — rzekł szach, ściągając surdut.

— Chwało swojego narodu, nie czyń tego, bo u nas nie wypada siedzieć w tramwaju bez surduta...

— Zwaryowaliście, czy co? — zawołał już oburzony Muzafer, zabierając się do ściągania kamizelki.

Kobiety spiesznie opuszczały wagon, a ja wraz z konduktorem straciliśmy dużo czasu, zanim udało nam się przekonać szacha, że powinien włożyć surdut.

W parku zatrzymał się nad bajurą, zwaną u nas sadzawką, czy stawem.

— Czy tu wy się kąpiecie?

— Nie, ale to jest historyczna pamiątka, dlatego jej nie zasypujemy. Sztuczna hodowla bakteryj.

— Chodź pan dalej, bo tu śmierdzi.

Park podobał się zresztą szachowi. Zdawało mu się tylko, że policya powinna zaradzić damskim ogonom za pomocą przymusowego odcinania ich choćby na ulicy.

W czasie powrotu do miasta z parku mówił mi szach, że już naprzód cieszy się na Wiedeń. Najbardziej ciekaw jest zobaczyć produkującego się tam obecnie słynnego głodomora Sacco.

— Ależ najmądrzejszy z księżyców, to już u nas takich głodomorów setkami widzieć możesz i nawet ich nikt nie podziwia. Pokażę ci tylko nauczycieli ludowych, artystów teatru ludowego, literatów galicyjskich, urzędników kolejowych itd. To wszystko są ludzie, którzy są żywym dowodem, że można przez szereg lat nie jeść, a mimo to nie umrzeć z głodu...

— Czy mógłbym zabrać ze sobą takie dwa, trzy okazy do domu?

— Nie, nie wypuszczą ich wierzyciele...

— Śmieszny kraj ta Azya...

— Galicya — poprawiłem.

Po skromnym podwieczorku w cukierni Sotschka, gdzie mój towarzysz wypił ośm kaw dużych i zjadł do tego trzy tuziny ciast z wielkim apetytem, urządziliśmy małą przejażdżkę przez miasto, ale już zwykłą dorożką. W dorożce siedział szach bez trzewików, bo twierdził, że mu na bruku lwowskim popuchły nogi. Gdy spostrzegł wóz tramwaju konnego rozśmiał się z takim rykiem, że koń tramwajowy przyspieszył kroku, konduktor się przeżegnał, a przechodnie zatrzymali się w drodze. Natomiast wołał głośno:

— All Heil! ile razy minął się z automobilem. Przez cały czas nie przestały go jednak interesować kobiety. Szczególnie jedna, ogromnie elegancka brunetka, z floletowym, pięknym kapeluszem na głowie, rozbijająca się ciągle na gumach, ogromnie mu przypadła do gustu. Chciał po prostu wyskoczyć z dorożki i to bez trzewików.

— Taki skok kosztowałby ciebie, wielki pierniku Boga, przynajmniej tysiąc koron — objaśniłem, wstrzymując szacha.

— Śmieszny kraj ten wasz Paryż.

— Galicya — poprawiłem.

Wieczorem byliśmy w teatrze. Przed przedstawieniem Muzafer Edin ciekawie rozglądał się po sali.

— Co to za pan, ten z bródką, w loży?

— To jest nasz prezydent, który już nie ma prezydentury, ale ma jeszcze lożę prezydenta w teatrze.

— Aha, rękaw bez surduta.

— Dlaczego?

— To pana nic nie obchodzi. A kto to ten tam w ostatnich rzędach.

— To jest szynkarz Arnold, którego niedawno sąd uwolnił, gdy za oszustwa wyborcze miano go zamknąć.

— To u was to wolno?

— Wolno, byle nie złapano.

— Zaczynają.

Grano „Łańcuch“ Heijermansa. Mego towarzysza bardzo interesował dramat, ale nie zrozumiał go. Ile razy zaśmiano się, musiałem mu tłumaczyć wszystko. Pociliśmy się obaj.

— Kto grubszy on (Feldman), czy ona (Wojnowska)? — spytał mój towarzysz.

— Trzebaby zmierzyć.

— A ile oni razem oboje ważą?

— Takiej wagi może nie ma we Lwowie, ażeby ich razem zważyć.

W połowie drugiego aktu opuściliśmy teatr udając się na kwadrans do Colosseum, ażeby już zamknąć szereg osobliwości Lwowa. Produkował się balet. Muzafer Edin był zachwycony. „Walił“ brawo bez końca, śmiał się, ryczał, podnosił się z miejsca i wołał ciągle:

— To śliczne miasto, ten wasz Wiedeń...

— Lwów — poprawiłem.

— Wasza cywilizacya godna, by ją naśladować. Persya niebawem już — da Bóg — pójdzie w wasze ślady — mówił kuzyn gwiazd z entuzyazmem, a ja życzyłem:

— Szczęśliwej podróży! *Klewe.*

Z legend japońskich.

JIU-ROKU-ZAKURA.

W Wakegori, prowincyi Syo, rośnie bardzo stare słynne wiśniowe drzewo, zwane Jiu-Roku-Zakura, co znaczy drzewo wiśniowe szesnastego dnia. — Gdyż jedynie tylko szesnastego dnia, w pierwszym miesiącu zakwita.

Czas jego kwitnienia przypada w okresie Wielkiego zimna — chociaż inne drzewa, by rozkwitnąć, oczekują pory wiosennej.

Bo Jiu-Roku Zakura nie kwitnie swem własnem życiem. W drzewie tem żyje dusza człowiecza.

Ogród, gdzie rośnie, należał niegdyś do pewnego samuraja. Kwitło wówczas tak, jak inne wiśniowe drzewa — na wiosnę.

Samuraj kochał swe drzewo. Gdy był małem dzieckiem, bawił się pod jego cieniem; rodzice, dziady i pradziady przeszło od stu lat, zawieszali na jego kwitnących gałęziach szerokie, barwne papierowe wstęgi, zapisane wyjątkami słynnych poematów. Wreszcie i on sam zestarzał się, przeżył dzieci i ze wszystkiego, co kochał, pozostało mu jedynie na całym szerokim świecie, to wiśniowe drzewo.

W końcu i ono zaczęło więdnąć pewnego lata, schnąć — aż umarło...

Starzec cierpiał niewypowiedzianie po tej stracie. Aż jakiś litościwy sąsiad, chcąc go pocieszyć, wyszukał najpiękniejsze, jak mógł znaleźć, drzewko i posadził je w ogrodzie. Starzec dziękował i zapewniał, że bardzo się cieszy. Lecz duszę pełną miał żalu, gdyż nadto kochał swe stare drzewo, aby cośkolwiek mogło go pocieszyć po stracie.

I pewnego dnia przyszedł mu na myśl sposób, w jaki mógłby ożywić umarłe drzewo. Wyszedł do ogrodu, klękł przed drzewem i rzekł:

— Zechciej, zaklinam cię, zakwitnąć raz jeszcze, gdyż umieram za ciebie.

Rozpostarł pod drzewem białe swe szaty, siadł i uczynił hara kiri, wedle obyczaju samurajów. Dusza jego natychmiast uleciała w drzewo, które w tejże chwili osypało się całe kwiatami.

I tak już odtąd co rok szesnastego dnia w pierwszym miesiącu, zakwita w porze śniegowej

Podróż do Krakowa.

Smutna humoreska z rzeczywistego zdarzenia.

(Dokończenie).

— Krzesowic! fünf Minuten! – woła nareszcie konduktor.

I p. Kazimierz, jak strzała, wylatuje z wagonu, a p. Antoni biegnie do konduktora i powiadamia go o śmiertelnym stanie tajemniczej kobiety.

Konduktor, poczciwe człeczysko, idzie obaczyć damę i wraca, wymyślając:

— Donner vetter! sakramecki historye!

— Co? co? — pyta p. Antoni, umarła?

— Niks, niks, szyje aber szle.

Pan Antoni wytrzeszcza oczy, ale konduktor sadowi go w innym przedziale, do którego wraca blady, jak chusta, pan Kazimierz i w pień klnie śliwki i koleje galicyjskie.

— Powiedz mi, Kaziu — woła p. Antoni – co jej się stało?

— Ach! dajże mi do kroćstotysięcy dyabłów pokój — woła zrozpaczony p. Kazimierz, a p. Antoni nie chcąc drażnić swego towarzysza, pogrąża się w rozmyślaniach i jakoś spokojnie dojeżdżają do Krakowa.

Ale tu sęk dopiero, tu trzeba całą uwagę wytężyć, bo tutaj dopiero ludzie na warszawiaków patrzeć będą. Z dworca zajeżdżają oczywiście nasi przyjaciele do jednego z najbliższych hoteli. Jednym z tych najbliższych był „Hotel polski“ przy bramie Floryańskiej, gdzie ugrzeczniony gospodarz wskazał przybyłym przyzwoity i niedrogi „numer“ na 2-em piętrze. Do charakteru „śpiącego grodu“ nadawało się wybornie i nazwisko właściciela hotelu: Stanisław Niedośpiał... Nie wiedzieli jednak biedacy, że „nomen“ — bywa „omen“. I im sądzono „nie dospać“ tej nocy. Tymczasem gospoderz, oddawszy dalsze losy podróżników w ręce numerowego — pogrążył się sam w czytaniu „Głosu narodu“.

Znajomi nasi przybyli do pod-wawelskiego grodu wieczorem, zakwaterowawszy się zaś w hotelu, rozeszli się, celem oglądnięcia miasta i odwiedzenia swoich znajomych.

Wybiła dwunasta. Uroczemi plantacyami zdążał p. Antoni do hotelu, rozkoszując się pięknym księżycem.

Czy księżyc, czy urojenie, wpłynęły na to? trudno odgadnąć — w każdym razie jestto faktem, że, zamiast na drugie piętro w hotelu, gdzie właśnie mieszkali nasi przyjaciele, p. Antoni wkroczył do jakiegoś mieszkania na pierwszem.

— Jestem już — zawołał, wpadając jak bomba.

— Kto tam! jak śmiesz tu wchodzić? – zawołał ktoś od łóżka.

— Zwaryowałeś, czy co? czy to nie wolno mi tutaj przychodzić, kiedy chcę?

— Ależ w tej chwili przyjdzie on!

— Co za on?

— Mąż z Hektorem, który strasznie kąsa.

Pan Antoni się rozejrzał i zrozumiał swoją sytuacyę: wszedł do cudzego mieszkania i wzięto go za kogo innego.

Już chciał zawołać — przepraszam, gdy na korytarzu dały się słyszeć kroki i poszczekiwanie psa.

— Zginąłem – szepnął — ach, przeklęte roztargnienie!

— Zlituj się! niema co myśleć o ucieczce, zdejm buty i schowaj się za parawan — woła głos z łóżka.

Pan Antoni oryentuje się w sytuacyi, i w tej chwili ściągnąwszy buty, chowa swoją korpulencyę we wskazanem miejscu.

— Ale jak się stąd wydostanę! — szepce.

— On prędko zaśnie, pewnie jak zwykle pijany, wyjdź wtedy pocichu.

— Dobrze!

I wszystko byłoby się odbyło, wedle ułożonego programu, gdyby nie Hektor.

Złośliwe psisko, skoro tylko za swym panem wpadło do pokoju, zaraz coś w powietrzu węszyć zaczęło. Ham! ham! ham! ozwało się nareszcie, zwęszywszy przybysza, podczas gdy na czoło p. Antoniego wystąpił pot kroplisty.

— Czego on szczeka? — mruknął głos gruby.

— Ot! zwykle jak pies! pewnie mu się co przyśniło – odpowiada głos cienki.

Ham! ham! ham!

— Bodajeś przepadł, podły psie — myśli sobie p. Antoni.

— Hektor tu, pójdziesz, leżeć mi zaraz.

Ale gadaj tam do Hektora, kiedy on zbyt widoczny okazuje apetyt do łydek p. Antoniego.

Nie namyślając się więc tym razem, p. Antoni wybiega z ukrycia, chwyta za klamkę, i co sił zmyka, naturalnie bez butów, które zostawił pod piecem, zostawił je znowu przez brak zastanowienia.

— Złodziej! trzymaj! łapaj! — wrzeszczy właściciel grubego głosu i, zerwawszy się, chce gonić zbiega.

Panu Antoniemu jednak jakoś szczęśliwie udało się uciec przed pogonią i nareszcie trafił do swego numeru.

— Wszystko to pięknie, ale co co będzie jutro, buty się zostały na 1-szem piętrze. Jak tu wyjdę na miasto? — myśli sobie p. Antoni. – Ano chyba buty będzie trzeba kupić nowe. Kazio mi to załatwi.

Nazajutrz p. Antoni, z wielką ostrożnością opowiedział p. Kazimierzowi o swojej przygodzie. Pan Kazimierz oburzał się na to roztargnienie, lecz poszedł kupić buty p. Antoniemu, naturalnie na pamięć. Pan Antoni czekał godzinę, dwie, trzy, dzień cały, głodny i zły jak pies, a pana Kazimierza jak niema tak niema.

Bije już 12 w nocy, wsuwa nareszcie głowę do pokoju p. Kazimierz.

— Jesteś nareszcie? Bodaj cię flanela ogarnęła, a buty?

— Słuchaj! co! hm? jak?... nie zostawiłem ja tu pieniędzy?!

— Człowieku! co ty mówisz!

— Wyobraź sobie, poszedłem po buty, i nie wziąłem ze sobą pieniędzy, a może i zgubiłem.

— To masz! Taka przyjemność z narwańcami jeździć no! co my teraz robić będziemy? człowieku, i ty o 12-tej w nocy dopiero przyszedłeś do wniosku, że trzeba do hotelu wrócić?!...

— Mógłbyś schować do kieszeni swoje uwagi, ot poszukajmy, czy niema pieniędzy w numerze...

A więc szukają. Splondrowali cały pokój, a pieniędzy ani śladu.

– Niema co! Siadaj bziku – woła p. Antoni – i pisz do Warszawy, niechaj przyszlą pieniędzy, tylko nie zaadresuj czasem do Pacanowa, gdyż inaczej pozdychamy tutaj z głodu.

Pan Kazimierz zasiada do pisania listu i o dziwy! pugilares leży sobie spokojnie na stole.

Fakt ten tak był już dostatecznie zrozumiałym dla obu przyjaciół, że przyszli wreszcie do przekonania, iż nic nie mają do wyrzucenia sobie, i w rezultacie zdecydowali się jak najprędzej powrócić do Warszawy.

Teraz dopiero p. Antoni wpadł na pomysł, że można buty wydobyć, i w tym celu napisał list do sąsiadki z pierwszego piętra, wyjaśniając jej pomyłkę i kończąc prośbą o zwrot butów, bez których ruszyć niepodobna.

Buty odesłano, a p. Antoni z panem Kazimierzem powrócili do Warszawy, o przygodach jednak swoich milczą, jak zaklęci, a gdy kto wspomni o podróży do Krakowa, rumienią się jak panienki na wydaniu, lub 50-letnia ciotka na wspomnienie swej pierwszej miłości...

Pierr.

Zagadki do nagrody.

Szarady.

I. *Pierwsze* litera w polskim alfabecie
Drugą zaś w greckim z pewnością znajdziecie
Pierwsza i *trzecia*, oznacza część ciała
A dla baletnic z nich największa chwała
Całość to przymiot, niestety dość rzadki
Cenią go panny jako i mężatki.

II. *Pierwsze* i *czwarte* jeden z elementów,
Który w Krakowie zawiera dość mętów
Trzecie i *czwarte*, to samo znaczenie
Bardzo przydatne kiedy masz pragnienie.
Czwarte i *drugie* – kogo stać jest na to
To chętnie czyni, gdy kieszeń bogatą
Pierwsze i *drugie* to nazwa żołnierza,
Który odważnie w wroga pierś uderza
Całość naczelnik, lat minęło wiele
Nosił buzdygan jak i karabelę.

Logogryf.

Z następujących sylab: a, czart, do, drach, gier, go, gus, i, im, kan, ki, ko, kon, lak li, li, ma, mi, mus, na, ne, nik, no, nol, no, o, o, o, ok, pac, pe, pir, ra, re, recht, so, ta, te, top, tu. ty, ut, we, wę, zo, zo, zyr – ułożyć 18 wyrazów, których początkowe litery, czytane z góry na dół stanowiłyby imię i nazwisko poety polskiego, końcowe zaś — utwór tegoż poety.

Znaczenie wyrazów.

1. Farba roślinna.
2. Tkanina.
3. Moneta grecka.
4. Urząd w Turcyi.
5. Wyraz, używany w utworach muz.
6. Miasto w Rosyi.
7. Rzeka w Afryce.
8. Środek dezynfekcyjny.
9. Tytuł króla Abisynii.
10. Imię męskie.
11. Pisarz polski.
12. Miasto w Hiszpanii.
13. Zwierzę.
14. Część budowli.
15. Humorysta polski.
16. Imię żeńskie.
17. Duch.
18. Zwierzęta skamieniałe.

Jako nagrodę za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych przeznaczamy wspaniałe dzieło Wł. Orkana p. t.: **„Herkules nowożytny“.**

Rozwiązania z Nru 22.

Rebus: Serce uczy miłosiernego człowieka, że łzy suszyć ma nieszczęśliwym.

Szarady: I. Kirkor. – II. Korsyka.

Arytmogryf: Straszny dwór.

Dobre rozwiązania nadesłali PP: L. Przewoźniczek Sieniawa, H. Dydacka Żurawno. H. Mokrzycka Turbia, K. Chodkiewicz Zbydniów, M. Arbesbauer Lwów, B. Ramułtowa Jeżów ad Bobowa, R. Żabka Biała, M. Głuszek Tarnów, J. Malik Bolechów, W. Hałdziński Lichwin, M. Opolska Czarny Dunajec, Z. Gocka Rożniatów, T. Domain Sanok, Remiszewski Załawie, M. Cetera Dubiecko, Stadnik Grabiny, St. Łaszkiewicz Słotwina, P. Piasecki Rzepińce, K. Fuchs Peczeniżyn, Fr. Josefert Kraków, M.Rożański Nowy Sącz, J. Tabor Lwów, M. Ochocka Kalinowszczyzna, Wł. Kamiański Sokal, J. Ramoszyńska Borysław, A. St. Bassara Niwiska.

Nagrodę za dobre rozwiązanie wszystkich zagadek otrzymał przez losowanie p. Tadeusz Domain w Sanoku. Prosimy o nadesłanie 50 hal. na koszta przesyłki.

NADESŁANE.

(Za ten dział Redakcya nie odpowiada).

Nowości w bluzach, halkach i bieliźnie

M. Beyer i Spółka
Kraków
Sukiennice l. 12, 13, 14





Ubrania na zamówienia od 20 złr.

Ubrania gotowe od 10 złr. | wyrób
Fraki, surduty od 20 złr. | krajowy

Kraków, ul. Floryańska 7 tuż przy Rynku.
Filia: Lwów, pl. Halicki 7

14

Związek katolickich Krawców.

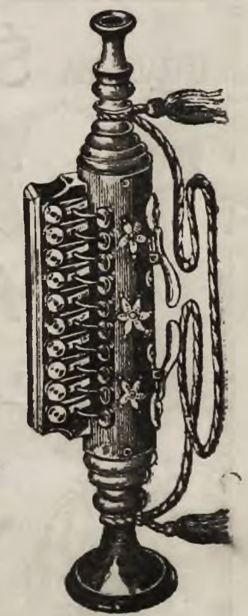
BEZ NAUCZYCIELA!
BEZ NAUKI I BEZ ZNAJOMOŚCI NUT!

może każdy grać na mojej trąbce samogrającej i flecie: pieśni, tańce, i marsze. Poleca się szczególnie na wesela i zabawy. Do każdego instrumentu dodaje się darmo łatwo zrozumiała szkołę. Przesyłka za zaliczką przez dom wysyłkowy instrumentów muzycznych

A. Scheuer w Krakowie ul. Grodzka 59/6.

Bogato ilustrowane cenniki instrumentów muzycznych oraz zabawek na żądanie darmo i opłatnie.


Nr. 134.


Nr. 135.

Nr. 134. Trąbka samogrająca ma 10 klawiszy, 20 głosów, 2 klapy basowe, 36 cm., złr. 1·10, 3 szt. złr. 3.

Nr. 135. Flet na 10 klawiszy, 20 głosów, 2 klapy basowe, fason cylindrowy, 40 cm., złr. 1·50, 3 szt. złr. 4.

Darmo i opłatnie otrzyma każdy mój bogato
illustrowany cennik
Instrumentów muzycznych
oraz różnych
ZABAWEK




A. Scheuer, Kraków
ulica Grodzka l. 59/6. 7-52

Kart widokowych
z każdej miejscowości podług fotografii, rysunku, dla p. p. księgarzy, kupców, Kółek rolniczych, dostarcza w artyst. wykonaniu, szybko i taniej niż w Niemczech
Henryk Frist, Kraków
właśc. konces. przez c. k. Namiestnictwo Salonu artystycznego.

Lodownie pokojowe, Lodownice amerykańskie, Formy na lody, Siatki druciane od much, Żelazka do prasow. na spirytus
poleca
Tom. Górecki, Kraków.



Na żądanie wysyłam
wielki CENNIK illustrow.
zegarów, wyrobów jubilerskich z chińskiego srebra i t. p.
F. Pamm, Kraków
ul. Zielona 3, II. p:

MAGAZYN MEBLI ŻELAZNYCH, MATERACÓW SPRĘŻYNOWYCH I WYROBÓW DRUCIANYCH
KRAKOWSKIEJ FABRYKI
JÓZEFA GORECKIEGO
ul. Starowiślna l. 44 w parterze, fabryka ul. św. Wawrzyńca l. 26.
14-22 telefon Nr. 277.

UNIWERSALNY
ORGAN INFORMACYJNY
„Informator"
Kraków, ul. Szpitalna 34
poleca:
Wykazy wolnych posad i zajęć.
Wykazy majątków ziemsk. i realności celem sprzedaży kupna i dzierżawy.
Wykazy wolnych mieszkań i lokali do wynajęcia, tudzież
Wykazy letnich mieszkań.
Prenumerata wynosi: rocznie 12 K. półr. 6 K, kwart. 3 K. Pojedynczy numer 50 hal.
Zgłoszenia wolnych posad i zajęć przyjmuje redakcya bezpłatnie i z wdzięcznością.

Eleg. spodnie spacerowe złr. 2·50

poręczonej doborowej jakości, trwałe, posiadające najnowszy fason, solidny kolor i nienaganny wiedeński krój, sprzedajemy **za bezcen** jedynie z powodu olbrzymiego zapasu; przy odbiorze **2 par złr. 4·75.** Przy zamówieniu wystarczy podać całą długość, objętość w pasie i długość w kroku. Wysyłka za zaliczką lub za poprzedniem nadesłaniem pieniędzy przez

Dom Exportowy ubiorów męskich i dziecinnych
KRAKÓW, GRODZKA 31.

Nieodpowiednie zamienia się bez jakichkolwiek trudności. Każde zamówienie na miarę z garderoby męskiej i dziecinnej zostanie również bardzo szybko i rzetelnie po najtańszych cenach fabrycznych uskutecznione. Aby się każdy mógł przekonać, o naszych niezrównanie niskich cenach, prosimy uprzejmie o zamówienie próbne i o liczne zwiedzanie naszego składu fabrycznego

Kraków, ul. Grodzka 31. — Dostawcy związku c. k. urzędników państwowych. — Filie w Łańcucie i w Gorlicach. 2 10-29



Spłaty częściowe!
dozwolone za poprzedniem ustnem lub listownem porozumieniem się.
Bezsprzecznie największy wybór!
Renomowana i powszechnie znana firma

Dom towarowy „AU LOUVRE"
we Lwowie, ul. Sykstuska l. 6 (Pasaż Hausmana)

poleca swój obfity i bogato zaopatrzony skład wszelkich możliwych gatunków dywanów (także kościelnych i przed ołtarze) dywaników, portyer, firanek, chodników, kap na stoły i łóżka, cerat, linoleum, kołder, koców, der na konie oraz wszystkich innych przedmiotów dekoracyjnych po nader niskich cenach konkurencyjnych.

Za nadesłaniem nam marki pocztowej za 10 h. wysyłamy nasze bogato illustrowane cenniki, w których są opisane także towary lniane i bawełniane, bielizna męska i damska, szyfony, płótna, bielizna stołowa i inne ważne artykuły, w zakres domowego gospodarstwa wchodzące. Zlecenia z prowincyi załatwia się odwrotnie.

By ujść pomyłkom, prosimy na nasz adres dokładnie zważać.

Z poważaniem Zarząd firmy:

Dom towarowy „Au Louvre"
Lwów, Sykstuska 6.

Na sezon obecny polecamy P. T. cyklistom znakomite rowery i koła motorowe słynnej marki:

„PUCH RAD"

firmy: JAN PUCH
PIERWSZE STYRYJSKIE TOWARZYSTWO AKCYJNE FABRYKI ROWERÓW W GRACU.
Na składzie utrzymujemy również
rowery fabryki:

„METEOR"

jakoteż wszelkie przybory rowerowe w wielkim wyborze.



Libmann i Machauf
Kraków, ul. Lubicz 7.

Aparaty fotograficzne, zawsze świeże klisze, papiery oraz wszelkie inne przybory fotograficzne poleca po cenach nader niskich
Niemetz i Sp. w Krakowie, Szewska l. 2 pierwszy dom od rynku.

BIURO
NAUCZYCIELSKIE
Stefanii Łapszów
z Trembeckich Zwilling
Kraków, ul. św. Jana l. 2
róg Rynku Głównego
poleca:
Nauczycielki, Guwernantki, Nauczycieli, Guwernerów oraz Wychowawczynie i Bony różnej narodowości.

CUKIERNIA
Kazimierz Sotschek
LWÓW
poleca się P. T. Publiczności.
Bufet w teatrze miejskim.
Wszelkie zamówienia wykonuje odwrotną pocztą.

Posiadacze losów
mogą u nas dostać za nie pełny kurs dzienny i na życzenie te same losy (tj. te same numera) grając na nie bez przerwy, nabyć na dogodne spłaty miesięczne. Losy gdziekolw. zastawione, wykupujemy i przeprowadzamy powyższą transakcyę.
Polecamy uprzejmie naszą firmę do wszelkich obrotów bankowych. Kupno i sprzedaż obligacyi, losów i monet. — Ajentów żadnych nie wysyłamy. — Kalendarzyk bankowy bezpłatnie.
Schütz i Chajes, Dom bankowy we Lwowie, plac Maryacki 7.

Odpowiedzialny redaktor: Wiktor Nimhin. Wydawca i właściciel: Stanisław Lipiński. Z drukarni Władysława Teodorczuka w Krakowie, ul. Zielona 7.
Klisze z zakładu T. Jabłońskiego i Ski w Krakowie.